WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 135 11 LISTOPADA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

SZYDŁOWIECKIE MUZYKOWANIE

O zespołach miejscowego ogniska muzycznego wyrażają się z uznaniem takie sławy, jak Witold Małcużyński i Witold Rowicki

SZYDŁOWIEC (HSI). 19 lat temu zapalony muzyk, Tadeusz Gogacz, postanowił założyć w Szydłowcu ognisko muzyczne. Ponieważ w całym mieście nie było ani jednego wolnego lokalu, z pomocą przyszli jego mieszkańcy — w domu u pana Jana Ziółkowskiego odbywały się np. regularne lekcje gry na akordeonie. Mimo tak ciężkich początków ognisko muzyczne istnieje i odnosi w tej chwili niemałe sukcesy. Dowodem tego mogą być słowa uznania wpisane do jego kroniki przez takie sławy muzyczne jak Witold Małcużyński i Witold Rowicki. Największą chlubą pana Gogacza jest obecnie 11-osobowy zespół harcerski o nazwie „Pol-Orffa". Nazwa zespołu pochodzi od oryginalnych instrumentów, którymi posługują się młodzi muzycy.

(mh)

Czeski Janosik gościł u wielkopolskich harcerzy

POZNAŃ (HSI) Wielkopolscy harcerze przeżyli dużo emocji teatralnych i muzycznych w czasie trwania Dni Kultury Czechosłowackiej. Przyjechał z Brna świetny dziecięcy chór kierowany przez prof. Frantiska Lyska dając 2 koncerty w Poznaniu i 1 w Środzie Wlkp. Wystąpił też teatr lalkowy „Radost", który przedstawił m. in. spektakl pt. „Złota rybka i błękitny kwiat". Była to bardzo ciekawie zinscenizowana dziecięca poezja czeska i słowacka. Najbardziej jednak poznańskim harcerzom podobał się spektakl pt. „Janosik" w czeskiej, słowackiej i polskiej obsadzie aktorskiej

Krzysztof Bajkowski

NA ULICACH GORZOWA WLKP. BEZPIECZNIEJ

GORZÓW WLKP. (HSI). Akcja „Bezpieczeństwo na drodze" trwa. Harcerze — członkowie Młodzieżowej Służby Ruchu ze Szczepu im. Braterstwa Broni przy Szkole Podstawowej nr 2 w Gorzowie Wlkp. uczą swych młodszych kolegów przepisów bezpiecznego poruszania się po ulicach i drogach. Przy szczepie powstał środowiskowy klub ruchu drogowego. Klubem opiekują się pracownicy Inspektoratu Drogowego MO. „Klubowicze" prowadzą zajęcia w klasach III—IV a także pomagają milicjantom w pełnieniu służby na ruchliwych ulicach miasta. **(mh)**

2 ha zabytków ludowych

WIEŚ W CENTRUM PSZCZYNY

Na 2-hektarowym obszarze parku w centrum Pszczyny urządzono skansen starego budownictwa ludowego pn. „Zagroda wsi pszczyńskiej". Na początek ustawiono tu siedem obiektów, m. in. drewnianą chałupę z Gorzowa z 1831 r., ośmioboczną stodołę z Kryr, dziewiętnastowieczną kuźnię z Goczałkowic i masztalnię z Wisły Wielkiej z 1799 r. Pośrodku podwórza zrekonstruowano oryginalną studnię z Łąki.

Wewnątrz drewnianych zabudowań zgromadzono to wszystko, co potrzebne było ówczesnym mieszkańcom do pracy i życia: oryginalne sprzęty i narzędzia. W zagrodzie stoją także różne stare powozy i karoce oraz typowe dla Śląska ciekawie rzeźbione ule. **(mt)**

Wędrował 100 km aby spotkać się z przyjacielem

NIEZWYKŁA PRZYJAŹŃ Tarzana i Fiedii

MOSKWA (PAP). Mieszkańców wsi Troickoje w Kraju Chabarowskim nie dziwi przyjaźń orła bielika i psa.

Witia Gumeniuk, uczeń z tej wsi, znalazł podczas sianokosów chore pisklę, którym się zaopiekował. Ptak spędził u Witii resztę lata i zimę. Na czas mrozów chłopiec ulokował swego pupila w szopie razem z psem podwórzowym — Tarzanem. Od tego czasu między ptakiem i psem nawiązała się serdeczna przyjaźń. Gdy gospodarz postanowił wypuścić orła, któremu nadano imię Fiedia, na wolność i wywiózł go 100 km w dół Amuru powędrował za nim do tajgi i Tarzan. Po trzech dniach nierozłączni przyjaciele wrócili do domu. Wszystko to zdarzyło się przed dwoma laty, a niezwykła przyjaźń obydwu zwierząt trwa do dziś.

(bis)

BRUNATNY ŁOWCA ZA ALASKĄ

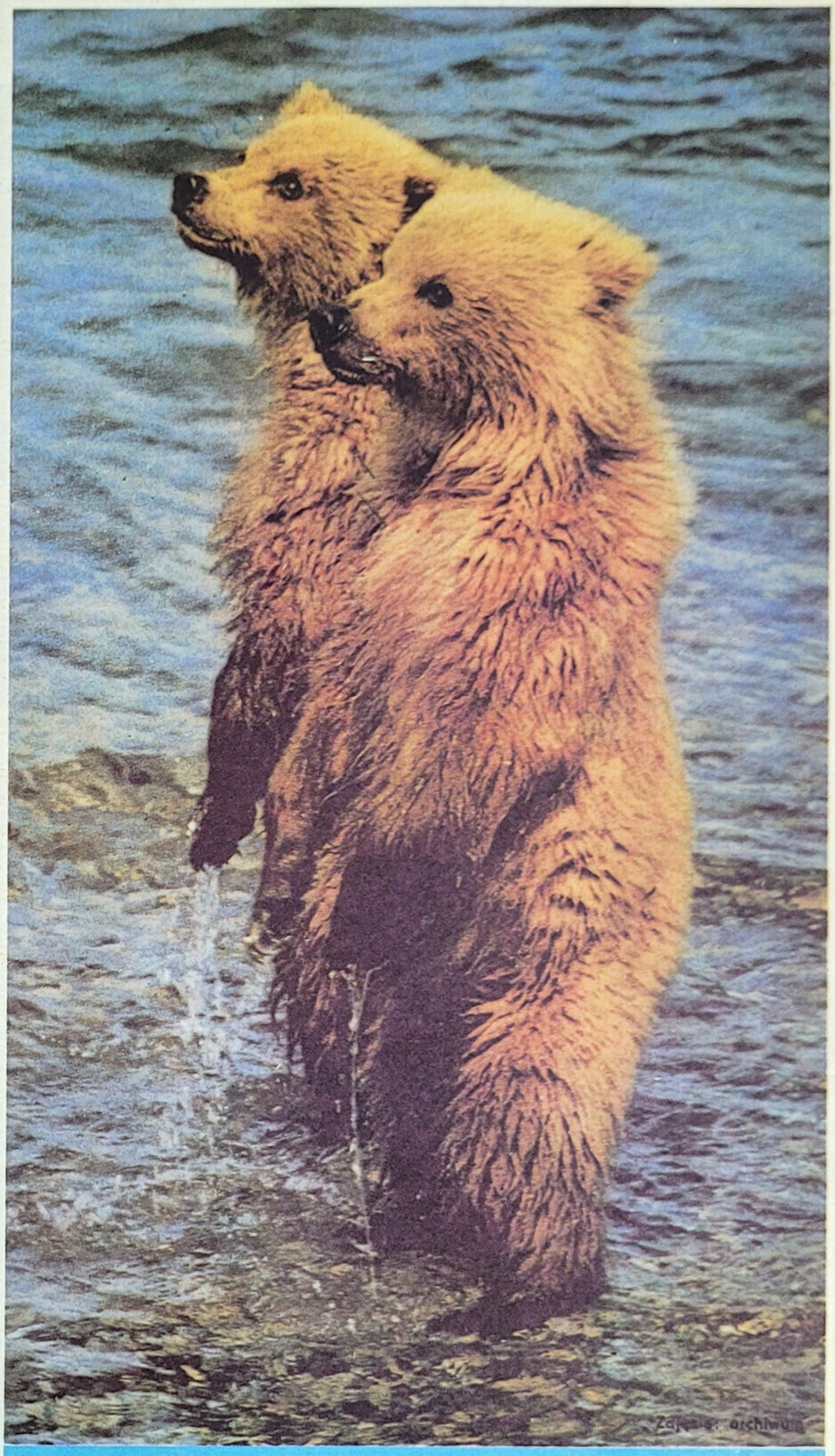

Był początek czerwca. Allan Egbert i Michael Luque rozbili namiot przy ujściu rzeki Mc Neil na Alasce. Naraz usłyszeli ciche kroki na plaży. Po chwili do namiotu zajrzała... niedźwiedzica. Musiała być bardzo głodna. Normalnie tutejsze niedźwiedzie nie podchodzą tak blisko obozowisk. Poza tym rzadko widują ludzi. Okolica została uznana za ścisły rezerwat przyrody. Zapuszczają się tam tylko badacze i fotoreporterzy. Ograniczono ruch samolotów i statków dopuszczając tylko małe jednostki. Uczeni chcą bowiem poznać życie panów tych ziem — niedźwiedzi brunatnych — w naturalnych warunkach.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Dziś przedstawiamy:

Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu zostały odznaczone Orderem Sztandaru Pracy I Klasy. Wawel — to jedno z najciekawszych muzeów świata, wiąże przeszłość naszego narodu z dzisiejszymi czasami, jest wizytówką naszej kultury i troski o nią.

Wawelskie skarby

Zbiory wawelskie zapoczątkował w 1882 r. dar Jana Matejki, który ofiarował swój słynny obraz „Hołd Pruski"; potem zaczęły napływać dalsze dary związane z historią kraju i Wawelu — obrazy, meble, zbroje, i arcydzieła sztuki jubilerskiej. Pod koniec XIX w. Prusacy, którzy zajęli Kraków po upadku powstania kościuszkowskiego, ogołocili skarbiec. Gromadzenie zbiorów muzealnych rozpoczęto ponownie w latach dwudziestych tego stulecia. Związek Radziecki przekazał nam dużą partię dzieł sztuki, m. in. dwa arrasy wawelskie, „Szczerbiec". Podczas II wojny światowej Zamek Wawelski był rezydencją hitlerowskiego gubernatora Franka, najcenniejsze eksponaty zdołano jednak wcześniej wywieźć za granicę i po długich wędrówkach znalazły się w Kanadzie.

W 1945 r. decyzją Krajowej Rady Narodowej, Wawel uznany został za czołowy pomnik przeszłości narodowej. Rozpoczęła się nowa historia polskiego skarbca koronnego. W wyniku walki o rewindykację skarbca, w lutym 1959 r. powróciła do Polski pierwsza część skarbów i tego samego roku nastąpiło otwarcie dwóch sal muzealnych. Skarbiec wzbogaca się z roku na rok drogą zakupów, depozytów i darów.

W ciągu 30 lat z małego muzeum, Państwowe Dzieła Sztuki na Wawelu przekształciły się w wielkie, unikalne w świecie muzeum. Do najcenniejszych eksponatów należą m. in.: bezcenny kielich Kazimierza Wielkiego z 1351 r., miecz zwany Zygmuntowskim, insygnia koronacyjne króla Władysława Łokietka, srebrna patera z herbami Zygmunta III z 1600 r., miecz Zygmunta I Starego, złoty kielich podróżny z pateną z XI wieku. Ostatnio skarbiec wzbogacił się o orła ze srebrnej zastawy stołowej Jana Kazimierza. Olbrzymie wrażenie na zwiedzających robi kolekcja 80 kobierców dworskich, 500 sztuk zbroi, amfilada 100 namiotów tureckich zdobytych przez Sobieskiego pod Wiedniem.

Nad całością wawelskich skarbów czuwa przeszło 200 osobowy personel historyków sztuki, archeologów, konserwatorów, strażników i woźnych. Od 1959 roku wzrosła czterokrotnie ilość eksponowanych przedmiotów, które ogląda rocznie prawie 2 miliony osób. **(ew)**

Kim jesteś, młody człowieku?

TAK pytał jeden z moich nauczycieli na godzinach wychowawczych i przypominał, że już za kilka lat będziemy stanowili zdecydowaną większość w kraju. I rzeczywiście — licząc niemowlaki i tych, którzy „dobijają" trzydziestki — jest nas ponad 60 proc. Ale mój nauczyciel mówił również: „To wy będziecie współdecydować o losach tego kraju". Wtedy, jeszcze w szkole, przyjmowaliśmy te słowa bez specjalnego przejęcia, jako że dorosłość kojarzyła nam się z czymś bardzo odległym, a co dopiero... współdecydowanie o losach kraju. A jednak, nim się obejrzałem, skończyłem studia, podjąłem pracę i zacząłem być odpowiedzialny — za to, co robię. I wtedy pomyślałem sobie, że mój nauczyciel ze szkoły miał rację. Od szkoły średniej do dorosłości dzieli nas tylko jeden skok, a skacząc, trzeba się zdecydować na przyszłe życie.

Ci, co współdecydują

Czytając codzienną prasę, dowiadujemy się o wykonanych planach, o różnorakich zobowiązaniach. Tu podjęto dodatkową produkcję, tam coś ważnego stało się w czynie społecznym. Polska znajduje się w szczególnie sprzyjającym okresie. Prężnie się rozwija, staje się bogatsza. I raptem pytanie: czyimi siłami? Połowa zatrudnionych w naszym kraju — podaje Rocznik Statystyczny — to ludzie, którzy nie przekroczyli jeszcze 30 roku życia. W niektórych zakładach natomiast ten wskaźnik wynosi 60, 70 i 80 proc. Gdzie? w hucie „Katowice", w Fabryce Samochodów Małolitrażowych, w Porcie Północnym, w wielu innych zakładach. „Młodzież znajduje się w ofensywie" — powiedział kiedyś **Edward Gierek** i liczby wskazują, że tak jest rzeczywiście.

Młodość — co to?

Fizjologowie mówią — stan organizmu, psychologowie zaś — stan ducha. I jedno, i drugie jest sprawą ważną. Młodość daje bowiem siłę, wytrzymałość na trudy, zapał, energię, pragnienie działania. Sprawa to niby oczywista, znana od wieków. Młodość jest niespokojna — wiedzą to wszyscy, ale rzadko kto zastanawia się nad tym bliżej. A przecież owa „niespokojność" ma różne barwy.

Psychologowie od spraw wychowania od dawna systematycznie badają młode pokolenia Polaków, a z badań tych rodzi się tzw. portret przybliżony chłopaka czy dziewczyny, żyjących w II połowie XX wieku w PRL. Jakie mają dążenia? Czego pragną? Gdzie widzą swoje miejsce?

„Jestem przeciwnikiem przeciętności — pisze w ankiecie 18-letni robotnik. — Wszystko to, co robię, chciałbym robić jak najlepiej. Drażni mnie to, że ludzie postępują po najmniejszej linii oporu, że myślą tylko o tym, jak najłatwiejszym sposobem nabić sobie kabzę. Podczas, kiedy inni myślą o dniu dzisiejszym, ja dzisiaj żyję, a myślę o jutrze".

„Patrząc na mego ojca, zdaję sobie sprawę — pisze uczennica ostatniej klasy Liceum Ekonomicznego — że moja nauka nie skończy się na maturze. Muszę stale się dokształcać, zdobywać nowe umiejętności. Tylko wtedy będę naprawdę pożyteczna".

„Nie cierpię leni, nierobów, sobków i cwaniaków — pisze inny robotnik. — Jestem za tym, by ludzie pomagali sobie, by nie przechodzili obojętnie wobec nieszczęścia na ulicy, by ten, kto jest w potrzebie, znalazł pomocną dłoń. Tak jak u nas w zakładzie".

Ale to tylko deklaracja. A jak wygląda działanie?

Mój sukces

Zupełnie niedawno pod takim właśnie tytułem grupa warszawskich socjologów przeprowadziła badania wśród robotników niektórych warszawskich fabryk. Badacze słusznie chyba założyli, że najlepiej przeanalizować do tego celu prywatne rozmowy. Zatrudnili się więc w tych zakładach i w czasie tzw. obserwacji uczestniczącej, nie zdradzając, że są socjologami, będąc przez kilka tygodni wśród badanych, dużo z nimi po prostu rozmawiali. Byli w ich domach, chodzili razem do kina, na spacery, razem pracowali. Później z analizy tych rozmów zrodził się interesujący model SUKCESU OSOBISTEGO MŁODEGO POLAKA. Cóż się nań składa?

64 proc. tematów rozmów prywatnych — jak to wyliczono dokładnie — zajmują sprawy zakładu i zawodu. Młodzi zbierają się w dyskotece, w klubie, w domach, idą na spacery — i rozmawiają najczęściej o sprawach związanych z ich pracą. Coś trzeba udoskonalić, ktoś się opuszcza w robocie, ktoś inny bruździ, trzeba pogadać z majstrem, z dyrektorem, zwołać zebranie; mówią o atmosferze w zakładzie, o kolegach, starają się przeciwdziałać objawom niekoleżeństwa.

Z czego się cieszą? Oczywiście z osiągnięć. Gdzieś zbudowano blok zamiast w 12 w 6 miesięcy, ówdzie zorganizowano brygadę „przyspieszenia", gdzie zadanie 10 dni wykonuje się w 9. „Sukces osobisty — piszą autorzy badań w podsumowaniu — kojarzy się młodym robotnikom z sukcesem w zakładzie pracy. Młodzi nie oddzielają ściśle sfery produkcyjnej od sfery życia osobistego. Te dwie sprawy wiążą się ze sobą nierozerwalnie, splatają się. Nieporównanie rzadziej zdarza się traktowanie wykonywanej pracy wyłącznie jako zła koniecznego. Pokolenie Polski powojennej w przeważającej większości miało szansę wybrać zawód zgodny ze swymi autentycznymi zainteresowaniami i predyspozycjami. (...) Człowiek jest wiązką ambicji. Ambicje są różne. Z naszych badań wynika, że podstawą są te zawodowe. Dopiero nad nimi nadbudowują się inne (rodzinne, bytowe, intymno-osobiste), mogące się realizować tylko wtedy, gdy zostanie zaspokojona ta podstawowa".

Autorzy badań piszą też, że wyniki innych tego typu sond, przeprowadzonych wśród inteligencji i wśród robotników potwierdzają, iż zaobserwowana tendencja jest reprezentatywna dla całej polskiej młodzieży.

★

Te badania przeprowadzono w latach 1972—1974. Ankietowani mówili, że czują się potrzebni, że konkretne, atrakcyjne zadania, jakie postawiła przed nimi partia i organizacje młodzieżowe — w miejsce utyskiwań na młodzież — są bezpośrednią przyczyną wielu życiowych sukcesów.

„Dorobek mijającego pięciolecia — napisał niedawno w „Trybunie Ludu" **Zdzisław Kurowski**, przewodniczący Rady Głównej FSZMP — stwarza młodzieży lepszy punkt startu w najbliższą przyszłość. Wiemy, że realne jest kreślenie jeszcze bardziej ambitnych zamierzeń. Bo stać nas na więcej niż dotychczas zrobiliśmy!"

Czytając to, przypomniałem sobie nauczyciela z liceum, który miał rację. Chcąc coś w przyszłym swym życiu osiągnąć, już w szkole trzeba się zastanowić „kim jesteś, młody człowieku?" Brzmi to może jak slogan, ale jakże życiowe to pytanie.

WOJCIECH PIELECKI

Zdjęcie: CAF

Co się stanie 11 listopada?

Kiedy dostaniecie ten numer do ręki, Angola będzie przeżywać swój pierwszy dzień wolności. Ten dzień może być krwawy. Śledźcie więc uważnie agencyjne wiadomości. Dowiecie się z nich, czy w tym wielkim afrykańskim kraju, bogatym w ropę, diamenty, hematyty, mangan, miedź i nikiel, zwycięży słuszna sprawa.

Pamiętam spotkanie w Egipcie sprzed roku. Pisałem już o nim, ale przypomina mi się ono zawsze, gdy czytam o Angoli. Słowa Alfreda, młodego Murzyna, wysłannika MPLA, brzmią bowiem dla mnie teraz jak proroctwo.

Alfredo mówił: „Najniebezpieczniejsze dla nas jest uleganie obcym wpływom. Obcy kapitał czuje się zagrożony. Wiele koncernów światowych zaangażowanych jest w wydobycie naszych bogactw. Z chwilą, gdy przejmiemy władzę, będą one musiały opuścić Angolę. Wykorzystują więc nasze różnice ideologiczne i judzą jednych przeciw drugim. Na razie udaje nam się unikać wielkich konfliktów, ale obawiam się, by za parę miesięcy nie powtórzyła się historia Konga, które po otrzymaniu niepodległości rozdarła na długie lata wojna domowa".

Pamiętam, że Alfredo był smutny. Myślę, że wtedy, gdy rozmawialiśmy, wiedział o wiele więcej od tego, co chciał nam rzeczywiście przekazać. „MPLA, Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli — rzekł po chwili towarzyszący nam korespondent PAP — to jedyny prawdziwie patriotyczny ruch w tym kraju. Jego przywódca, dr Agostino Neto, powiedział kiedyś, że swoje brudy trzeba prać na własnym podwórku i dlatego, choć nie zgadza się z wieloma koncepcjami dwóch pozostałych partii, pragnie z nimi współpracować i nie okazywać różnic na zewnątrz, bo to tylko może rozbić tak potrzebną krajowi jedność".

Dr Agostino Neto zawiódł się jednak. Jego postępowy program przemian społeczno-ekonomicznych w interesie całego narodu angolańskiego może być utopiony w morzu krwi. Z niedawnych współpartnerów w tymczasowym rządzie spadły bowiem maski. FLNA (Narodowy Front Wyzwolenia Angoli) okazał się ruchem popieranym przez różne zachodnie kręgi imperialistyczne, odwołującym się do najprymitywniejszych odruchów narodu, do plemiennych szowinizmów. To on wszczął zbrojne potyczki z MPLA i od jego działań rozpoczęła się trwająca w Angoli bratobójcza walka. UNITA zaś to ugrupowanie jeszcze bardziej wątpliwe, konserwatywne i finansowane najprawdopodobniej przez Amerykańską Agencję Wywiadowczą.

Nie wiem, co stanie się 11 listopada, bo kiedy piszę te słowa, jest dopiero czwarty dzień tego miesiąca. Luanda, stolica kraju, znajduje się w rękach MPLA. Ostrzeliwują ją jednak wspierane przez białych najemników wojska dwóch pozostałych ugrupowań. Toczy się wojna domowa. MPLA przewidywał taki obrót sprawy. Dr Neto nazywał to nawet „drugą wojną o wyzwolenie", w której spodziewał się zwyciężyć, ponieważ jego ruch jest najstarszą organizacją wyzwoleńczą tego kraju i cieszy się największą popularnością, również na terenach zajmowanych przez FLNA i UNITA.

Utrzymać stolicę kraju — to najważniejsze zadanie. Agencje donoszą jednak, że jest to zadanie trudne. MPLA poniósł ostatnio dotkliwe straty militarne. Jeśli utraci do 11 listopada Luandę, nie ma żadnej możliwości na przejęcie rządu w Angoli. Jeśli utrzyma — może ogłosić jednostronnie niepodległość, wykluczając w ten sposób z udziału w rządach dwie pozostałe partie.

Chciałbym, żeby wygrał MPLA i jego postępowy, socjalistyczny program. Myślę, że tego pragnie każdy rozsądny człowiek. I dlatego będę uważnie śledził agencyjne doniesienia, bo w Angoli zdaje egzamin ze swej dojrzałości politycznej cała Afryka. Od jej poparcia zależy prawie wszystko...

WOJCIECH PIELECKI

Trochę wiosny jesienią...

Harcerski fason

W pochmurną i słotną niedzielę pojechałem na jubileuszowy bo X Rajd Panterkowy Rad Drużyn warszawskiego Hufca im. Szarych Szeregów, nie wierząc specjalnie, że coś się będzie działo.

Stało się inaczej — najpierw przeglądy mundurowe i pytania ze znajomości bohatera, potem „terenka", dalej szybko na tor zręcznościowo-sprawnościowy i samarytankę i dalej, dalej... razem około 20 km. Patrol za patrolem szedł jak w zegarku, aby na mecie podliczając zdobyte punkty odpocząć przy ognisku.

Możecie powiedzieć, że to nic nadzwyczajnego — rajd jakich wiele — i tak i nie. Dlatego nie, że już chłodno i deszczowo, a im to nie przeszkadzało. Bo trzeba się ruszać a nie „dekować" w domowym ciepełku.

Trochę wiosny jesienią zawsze się przyda — no nie mam racji?

FOTOKAJETAN

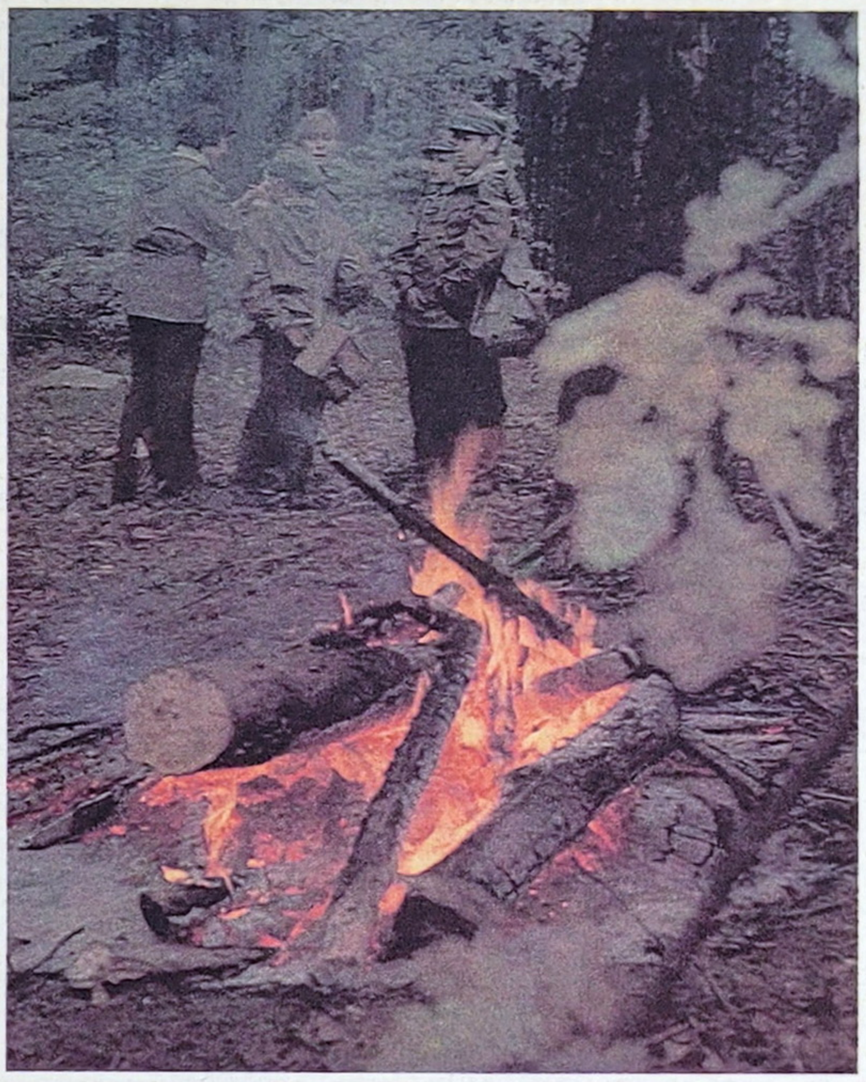

KN

KOLEŻANKA HELENY ciągle wymaga od niej różnych drobnych usług, sama jednak, poproszona o coś — zawsze znajduje wykręty i odmawia. MARCIN dla własnej wygody chciał przesunąć termin zbiórek zastępu. Koledzy nie zgodzili się. Marcin obraził się i uważa, że zawiódł się na swoich kolegach, a ich pretensje są nie uzasadnione. „ORFEUSZ" jest zdania, że zastęp Marcina powinien ustąpić. MAŁGORZATA J. nie zgadza się z takim stanowiskiem. Według niej nie wolno bronić egoisty i sobka. JW. podkreśla, że liczy się wola większości i jednostka powinna się jej podporządkować. URSZULA podaje przykład, że nie zawsze tak musi być, bo jej klasa dostosowuje trasę wycieczki do możliwości kolegi, który jest chory i trudno mu chodzić.

Dziś — po raz czwarty — prezentujemy kolejne głosy w dyskusji:

DLA KOGO DOBRZE?

Trzeba dawać

Koleżanka Heleny to „dobre ziółko". Trzeba ostro przeciwstawiać się tym, którzy chcą tylko brać od innych, a nie chcą dawać nic z siebie. To przecież rodzaj pasożytnictwa.

„Majka"

Ja, my, wy

Marcin pisze, że posprzeczał się z kolegami o głupstwo. Nieprawda. To wcale nie jest taka błaha sprawa. Bo egoizm to cecha, która może wyrządzić ludziom wiele szkody. Postępowanie Marcina świadczy o braku poczucia koleżeńskości. Trzeba w życiu dobrze wyważyć swój interes i dobro innych. „Ja" nie może być ważniejsze niż „my" i „wy".

Wanda z Pińczowa

Samolub

Oj, Marcin, Marcin! Czy nie przyszło ci do głowy, że postępujesz jak samolub, czyli taki, który przede wszystkim widzi koniec własnego nosa. Ciężko ci będzie w życiu, jeśli nie zrozumiesz odwiecznej prawdy, że najważniejsze jest szczęście i dobro drugiego człowieka. Potem dopiero można myśleć o sobie. To jest podstawowa zasada umiejętnego współżycia z ludźmi!

„Czinka"

Po co te pretensje?

Zastęp powinien ustąpić a nie upierać się, że nie zmienią terminu zbiórki, bo... nie i koniec! Przecież to głupie. Tak postępują dzieci, a nie prawie dorośli ludzie. Pretensje zastępu do Marcina też są niedorzeczne.

„Antrobius"

Trzeba się przeciwstawiać

Chciałbym powiedzieć co myślę o Helenie. Jej koleżanka jest sprytna. Ale Helena jest naiwna! Przecież sama wie, że daje się „robić w konia". Trzeba to przerwać. Po co koleżanka ma myśleć, że wszystko w życiu się jej uda i może z ludźmi robić co tylko zechce? Niech się przekona, że nie można długo wykorzystywać innych. W takich wypadkach trzeba mieć odwagę powiedzieć nie! Przyjacielska rozmowa nie dała przecież skutku.

Marcin z Warszawy

Tak nie można

Marcin nie potrafi współżyć z zespołem. Postępuje tak, jakby jego osoba była najważniejsza. Oto on — król i pan innych! Wszyscy powinni myśleć tylko o jego przyjemnościach i tak postępować, żeby przypadkiem nie zrobić czegoś, co by mu się nie podobało. A przecież tak nie można żyć z ludźmi. Aby nie zostać samotnym, trzeba ze wszystkimi żyć w zgodzie lub przynajmniej chcieć tej zgody.

Postawa Marcina wywoła zawsze sprzeciw. A wtedy można dostać od ludzi „porządnego kopniaka".

Mariola

Jednostka też jest ważna

Urszula zauważyła bardzo ważną sprawę. Nie zawsze większość powinna podporządkowywać sobie jednostkę. Są takie sytuacje, gdy trzeba pamiętać o korzyści tylko jednego spośród własnego grona. Ale wtedy wszyscy świadomie rezygnują ze swoich korzyści na rzecz innych, którzy zasłużyli na to, którym to się należy. I robią to w dobrych intencjach. Trudno jest zmusić grupę, żeby wyrzekła się swojego dobra dla zaspokojenia zachcianek jakiegoś tam Marcina, który chce dyrygować i być tym najważniejszym.

„Kapa"

A jakie jest Twoje zdanie?

Co myślisz o przedstawionych listach?

Czy w sprawie Marcina zgadzasz się z „Czinką" czy raczej z „Antrobiusem"?

Co się bardziej liczy — dobro jednostki czy korzyść grupy? Czy zawsze jednostka powinna podporządkować się woli grupy? Czy są takie sytuacje, że grupa powinna uwzględniać dobro tylko jednego swojego członka? Kiedy? Dlaczego? Jak postępować w sytuacji konfliktu interesów? Kto powinien rezygnować?

Zastanów się!

Napisz!

Czekamy na Twój głos w dyskusji!

Na kopercie zaznacz koniecznie hasło: „DLA KOGO DOBRZE?"

KLUB NASTOLATKÓW

Jesse Owens wytyczył szlak

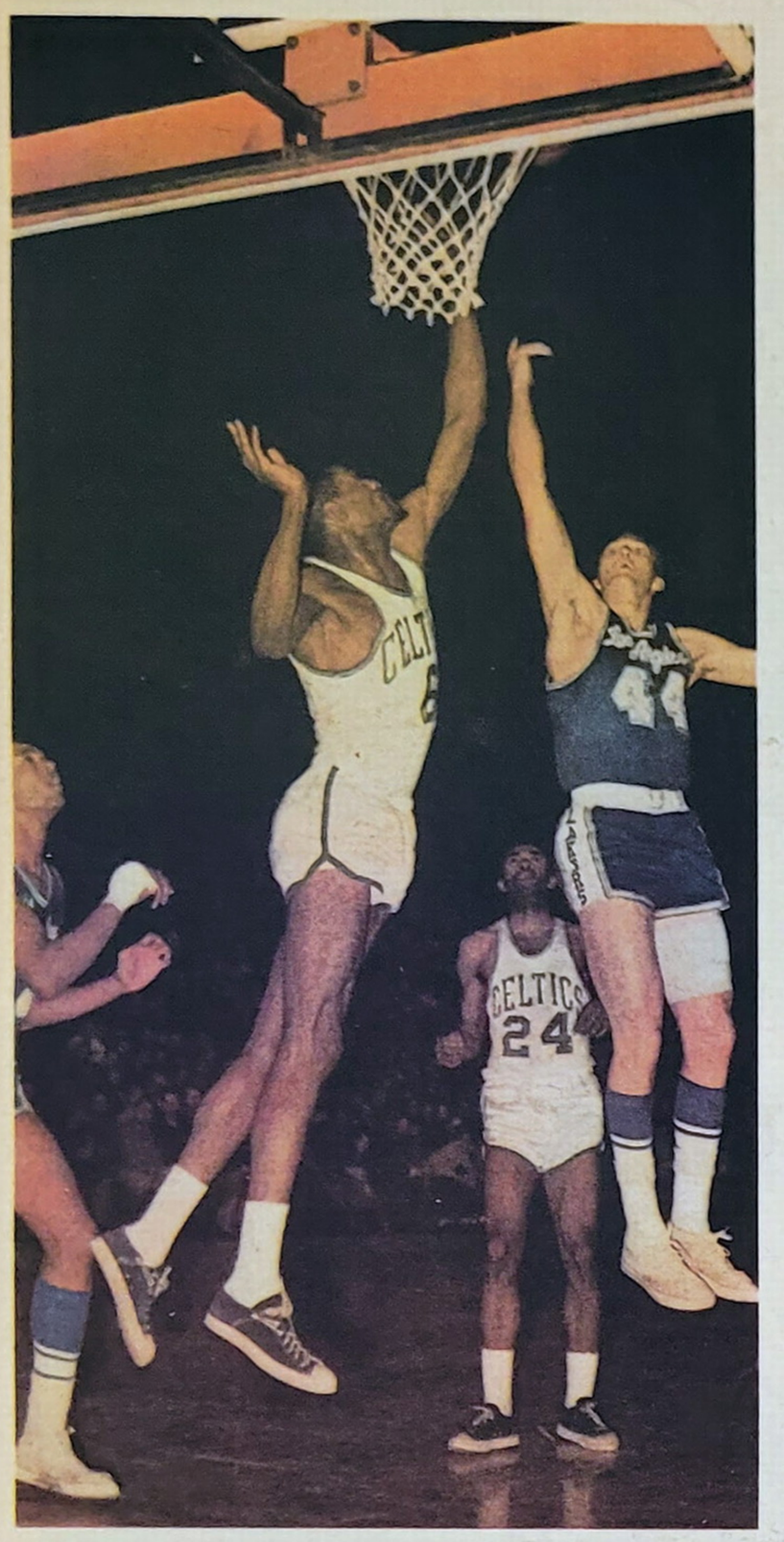

Dominował niegdyś pogląd, że czarnoskórzy sportowcy nie potrafią rywalizować w grach zespołowych. Drużyna Boston Celtics USA tylko dzięki nim zdobyła aż sześć razy mistrzostwo.

Berlin 1936 rok. XI Igrzyska Olimpijskie. „Czarna strzała" zadziwia świat. Najpierw z niespotykaną łatwością zwycięża „setkę", nie ma też sobie równych w biegu na 200 m. Trzeci złoty medal zdobywa w skoku w dal, czwarty w sztafecie 4 × 100 m. W imponującym stylu udowadnia, że jest najlepszym zawodnikiem berlińskich igrzysk. **Jesse Owens** — bo o nim to właśnie mowa — potomek czarnoskórych niewolników, walczy jednak w barwach USA. Jego państwa nie było wtedy na kolonialnej mapie Afryki... Ale Owens wytyczył szlak, którym pół wieku później po sportowe triumfy nacierają Kenia, Egipt, Nigeria, Uganda, Etiopia, Ghana...

Jeszcze 19 lat temu afrykański sport nie odgrywał praktycznie żadnej roli. Swą obecność na igrzyskach w Melbourne reprezentanci Czarnego Lądu zamanifestowali zaledwie dwoma punktowanymi miejscami (V i VI). Już jednak po czterech latach, w Rzymie, niezmordowany etiopski szeregowiec, **Bikilla Abebe,** sięga po złoty medal w maratonie. Ten sam zawodnik staje na najwyższym podium także w Tokio. W stolicy Japonii pojawiają się też inne nieprzeciętne talenty bieżni: Keino (Kenia) i Gammondi (Tunezja). Obaj wracają „ze złotym runem" z kolejnych, meksykańskich igrzysk. I właśnie od tej imprezy datuje się frontalny atak sportowców afrykańskiego kontynentu. Należy sądzić, że 22 medale zdobyte w Meksyku i Monachium są zaledwie małą „przymiarką" przed olimpiadą w Montrealu. I to nie tylko w lekkiej atletyce.

Tak skacze Modupe Oshikoya. Wysokość 1.76 m, uśmiech i dziesięć misternie splecionych warkoczyków...

Afryka w natarciu

Kobiety nie gorsze

Świat przestał się dziwić wyczynom afrykańskich zawodników. Panie miały znacznie trudniejszy początek; domowe obowiązki, dziesiątki przesądów — stanowiły ciężkie do przebycia bariery. Ale i one zostały pokonane.

Alice Annum nazywana jest Szewińską Afryki. Podobnie jak nasza rodaczka, ma za sobą trzy olimpiady; teraz przygotowuje się do czwartej. Jej starty w Tokio i Meksyku były raczej wyprawą po naukę. Monachium przyniosło już reprezentantce Ghany awans do finałów na 100 i 200 m. 27-letnia Alice ponownie znajduje się w znakomitej formie; zwyciężyła niedawno w igrzyskach swojego kontynentu i to z doskonałymi rezultatami. Najszybsza sprinterka Afryki myśli poważnie o poprawieniu rekordów świata, o zwycięstwach nad europejskimi biegaczkami. Może uda się ta sztuka właśnie w Montrealu.

Wszechstronniejsza od Alice jest Nigeryjka, **Modupe Oshikoya.** Mistrzyni w pięcioboju wzbudza zainteresowanie nie tylko wynikami (6,45 m — w skoku w dal, 1,76 m — wzwyż, 13,8 sek. — w biegu na 100 m przez pł.), ale także... misternie splecionymi warkoczykami. Jest ich dziesięć, akurat tyle, ile noszą elegantki z jej rodzinnej wioski. Wyklęta niegdyś przez plemiennego szamana, sportowymi wynikami i sławą sprawiła z kolei jego wypędzenie. Banita-szaman podobno odprawia teraz modły za przyszłe osiągnięcia Modupe i prosi dobre duchy o... kolejne rekordy „nigeryjskiej gazeli".

Niełatwą do triumfów drogę miała także najmłodsza z czarnych mistrzyń, **Sabine Chebicki.** W pierwszych oficjalnych zawodach startowała boso i w... różowej haleczce. Bo i skąd miała wziąć lekkoatletyczne pantofle i dres?! Ale i w tym „stroju" przyjęto ją do narodowej reprezentacji Kenii. Zaledwie 16-letnia dziewczyna dzięki swym naturalnym predyspozycjom (z nowoczesnym treningiem zetknęła się dopiero teraz) zaliczana jest do faworytek olimpijskich biegów na 800 i 1500 m!

Największy kłopot

Kraje afrykańskie stosunkowo niedawno odzyskały niepodległość. Brak tam jeszcze stadionów (chociaż w Algierii jest już osiem bieżni syntetycznych), hal, wreszcie — pieniędzy, które można by inwestować w sport. Z tej też przyczyny wielu uzdolnionych zawodników masowo emigruje na inne kontynenty. I to stanowi największy kłopot czarnoskórych działaczy i trenerów.

Za niespełna rok igrzyska olimpijskie w Montrealu. Już dziś fachowcy rozważają szanse sportowców Afryki. Jakie one są? Ano, oblicza się, że zawodnicy ci wywalczą 30—35 medali, a niektórzy z nich wprost zdeklasują rywali. Czy bohaterkami będą wspomniane już lekkoatletki? A może Kenijczyk **Stephen Chepkwony,** który z taką łatwością wygrał bieg na 400 m podczas tegorocznego Memoriału Janusza Kusocińskiego, może **Boyi** z Tanzanii albo **Yojannes** z Etiopii...

Jedno jest tylko pewne: kiedy najlepsi zawodnicy Afryki doczekają się równie doskonałych warunków uprawiania sportu jak ich przyjaciele w Europie — pękną kolejne bariery ludzkich możliwości. Bo, światowy sport przejdzie nowy, wielki wstrząs. Czas pracuje dla Afryki. Czarni mistrzowie przestaną wtedy handlować swymi uzdolnieniami, jak to czyni chociażby Clay i rywalizujący z nim zawodnicy.

ZDZISŁAW PRZYBYLOWSKI

Alice Annum wierzy, że jej czwarta olimpiada będzie najbardziej udana.

Zdjęcia: archiwum

DLACZEGO ZACNY?

LUDZI o nazwisku Zacny żyje w Andrychowie kilkudziesięciu, a może i ponad stu; jest ono w tym mieście bardzo popularne. W Wytwórni Silników Wysokoprężnych „Andoria" pracuje ich kilku, jednym z nich jest Józef Zacny, robotnik-tokarz. Szczupły, niewysoki blondyn, lat 38, choć sprawia wrażenie dużo młodszego. Gdy po raz pierwszy stanął przy tokarce w 1953 roku, miał lat 15 i skończoną szkołę zawodową. Był już wykwalifikowanym robotnikiem. Nie odszedł od maszyny do dziś, choć oczywiście, w miarę upływu czasu te maszyny zmieniały się na coraz nowocześniejsze, a jego znajomość roboty i kwalifikacje rosły. Niedawno skończył kurs mistrzowski. Przez siedemnaście lat, odliczając okres, gdy w góralskim kapeluszu i pelerynie żołnierza Karpackiej Brygady WOP pełnił służbę na granicy, pracował w Wydziale Obróbki Panewek. Jaka to była robota?

— Maszyna gwarantowała dokładność obróbki — mówi Zacny — rzędu 0,1 mm, a wymagano od nas przykładowo dokładności 0,02 mm. Taką dokładność uzyskuje się jedynie przez szlifowanie, ale brązu panewkowego szlifować się nie da, więc trzeba było uzyskać ją nożem tokarskim. W 1970 roku z dużej grupy kolegów, z którymi skończyłem szkołę zostało nas już tylko czterech.

I wszystko właściwie w jego życiu dzieje się tak jak z tymi panewkami: z pozoru sama zwyczajność, przeciętność, a jak przyjrzeć się bliżej, wychodzi szydło z worka. Że wcale nie tak zwyczajnie i już zupełnie nieprzeciętnie. Myślę, że po prostu Józef Zacny, syn robotnika i robotnicy, życia monotonnego i łatwego nie ma i że jest sam temu winien. A winien dlatego, że zawsze zza swojej maszyny wystawał, że się za nią nie mieścił. Jego życie nie jest „łatwe", bo jeśli u wielu biegnie ono dwoma torami: dom i praca, to u niego tych torów jest trzy: dom, praca i działalność społeczna. Może zresztą ta kolejność jest inna. Winien jest więc temu, że poświęcił pracy społecznej w organizacjach młodzieżowych, a od 1961 roku w partii, tysiące godzin swego życia. Mógł przecież nie przejmować się „poprawianiem świata", walką o to, by przyszłość była lepsza niż teraźniejszość, a więcej zająć się domem, częściej chodzić na grzyby — co jest jego prywatną pasją — czy wreszcie dużo dłużej zalegać w fotelu przed telewizorem w przytulnym M-3 na Osiedlu Dwustulecia. Jeśli można o człowieku zrównoważonym, spokojnym, może nawet flegmatycznym, powiedzieć, że jest niespokojny — to właśnie takim jest Józef Zacny, sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej Służby Utrzymania Ruchu.

— Co wnosi Zacny do pracy swojej organizacji partyjnej? — pyta I sekretarz Komitetu Zakładowego Henryk Plac. — Pomysłowość, konkretność i bezkompromisowość. U niego nie robi się żadnych różnic, wszyscy są ze swych zadań partyjnych i zawodowych rozliczani jednakowo: dyrektor czy robotnik. We wszystkich dziedzinach działalności partyjnej organizacja, której jest sekretarzem, zajmuje zawsze pierwsze miejsce w zakładzie. Może właśnie dlatego młodzi ludzie tak chętnie tu wstępują do partii, choć wymagania stawia się im bardzo wysokie. Gdy mieliśmy uroczyście wręczać nowe legitymacje partyjne, Komitet Zakładowy podjął decyzję, że dokonamy tego właśnie w organizacji, której sekretarzem jest tow. Józef Zacny. Uważamy, że to on właśnie był inicjatorem czynu zjazdowego, który podjęła jego organizacja a następnie skierowała apel do innych wydziałów. Dobra, mocna organizacja partyjna — taka jak jej sekretarz.

CZY łatwo robotnikowi być sekretarzem — szefem partyjnym nie tylko kolegów-robotników, ale inżynierów, kierowników wydziałów, dyrektorów?

— Łatwo nie jest — mówi Zacny — ale wcale nie z tego powodu. W partii jesteśmy wszyscy sobie równi, przynajmniej ja to tak rozumiem. Trudno jest przykładowo dlatego, że praca sekretarza wymaga czasu i to często, niestety, w godzinach pracy. A jeśli nie wykonam przydzielonej mi roboty w 125 proc., nie otrzymam premii, czyli zarobię dużo mniej, a jestem zwykłym człowiekiem i na tego „malucha" książeczkę PKO też chciałem założyć i założyłem. Dostanę swój samochodzik w 1978 roku; nie możemy się z żoną doczekać tej chwili. Więc jeśli załatwiam sprawy partyjne w godzinach pracy, muszę to nadrobić. A robotę „papierkową" zabieram do domu. I choć przykładowo w moim wydziale pracują bardzo dobrzy koledzy, to zawsze znajdzie się taki, co to ze zwykłej zazdrości „towarzyszowi sekretarzowi" wszystko ma za złe. Więc gada przykładowo po kątach, że inni muszą za mnie pracować, co jest bzdurą.

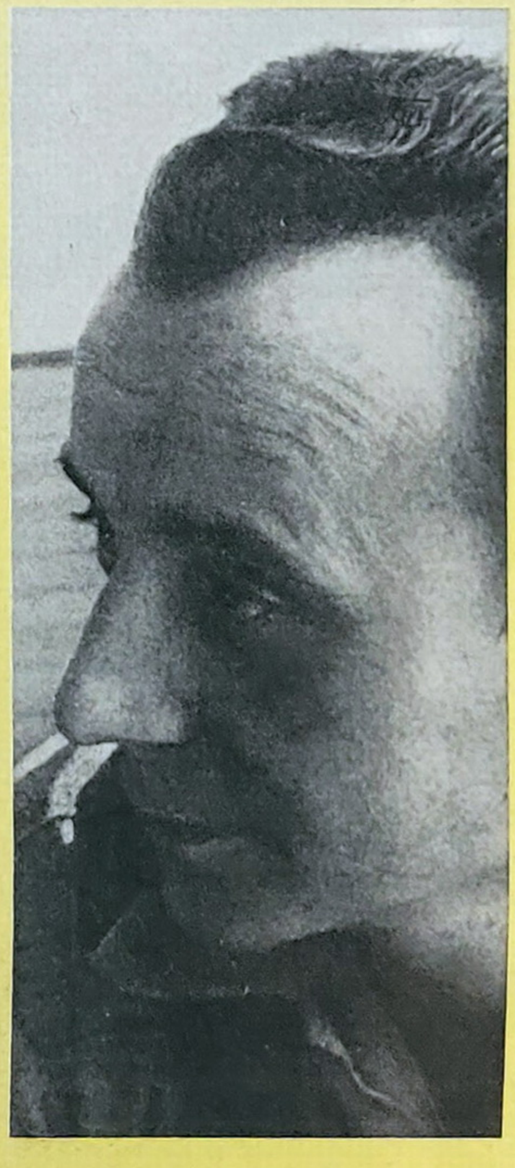

ZACNY ma swoje powiedzonko: „przykładowo" i używa go często. Nie chciałbym dać się zasugerować i powiedzieć o nim, że jest „przykładowym" człowiekiem. Myślę jednak, że jest człowiekiem, przy którym warto się zatrzymać dłużej choćby tylko dlatego, że nie wybrał w życiu drogi „z górki". Ludzie często z pozoru nie różniący się od innych, obarczeni wielu słabościami i popełniający błędy, których nie są w stanie uniknąć, a jednak mający w sobie potrzebę zajmowania się nie tylko własnymi interesami, są zawsze jednostkami twórczymi, koniecznymi dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Jednym z takich ludzi jest właśnie Józef Zacny — delegat na VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wybrany przez swych towarzyszy pracy. Dlaczego właśnie on? Dlaczego Zacny? Myślę, że czytelnik już sobie odpowiedział na to pytanie.

JERZY KOWALKOWSKI

Zdjęcie: autora

REDAKCYJNA POCZTA

Był dla mnie tylko kolegą...

Poznałam chłopaka, którego traktowałam zwyczajnie — jak kolegę. On natomiast uważał, że jestem dla niego kimś bliższym. Kiedy otwarcie powiedziałam mu, że nie chcę z nim chodzić, pogniewał się na mnie. Teraz, kiedy idę ulicą, słyszę obraźliwe epitety pod moim adresem. Nie reaguję na nie, ale jest mi bardzo przykro. Nie wiem jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji; żadne tłumaczenia do Ryśka nie docierają...

Magda

Dlaczego odwrócili się ode mnie?

Przez 2 lata byłam przewodniczącą naszej klasy. W tym roku zostałam zastępcą przewodniczącej samorządu uczniowskiego. Wcale nie odczułabym tej zmiany, gdyby nie klasa. Pełniłam tę funkcję gorliwie, zawsze wywiązywałam się ze swoich obowiązków. Byliśmy najlepszą klasą w szkole. Wtedy wszyscy byli dla mnie mili, miałam wielu przyjaciół. Miałam także chłopaka ze swojej klasy, byłam szczęśliwa i myślałam, że tak będzie zawsze. W tym roku wszystko się nagle odmieniło. Nie mam przyjaciół, koledzy przechodzą obok mnie obojętnie. Nawet mój chłopiec ugania się za nową przewodniczącą! Nie wiem dlaczego zaszła taka zmiana, bo mój stosunek do nich jest przecież taki sam!

Samotna Ilona

Marek Tomaszewski, lat 15, ul. Limanowskiego 146 m. 30, 91-032 Łódź, szuka przyjaciół.

Chciałabym Ci pomóc, Katarzyno

Katarzyno ze 119 „SM" — piszesz, że nie masz w klasie ani jednej życzliwej duszy, a bardzo chciałabyś mieć kogoś bliskiego. Może ja mogę być tym „kimś"? Mam 14 lat, chodzę do ósmej klasy, noszę okulary i złośliwi nazywają mnie „czterooka" (ale gdy zbliża się powtórka — proszą o pomoc). Myślę, że nie powinnaś się kontrolować przez cały czas, jak to obecnie robisz. Bo to naprawdę męczarnia! Chciałabym Ci pomóc.

Małgorzata Kłos
87—409 Pluskowęsy

Miesiąc dobroci dla zwierząt

Październik i listopad od dawna są Miesiącem Dobroci dla Zwierząt. Mimo że moje oszczędności są niewielkie, zawsze w tym okresie wpłacam tyle, ile mogę, na konto Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Podaję numer tego konta koleżankom i kolegom, którzy także pragnęliby pomóc schroniskom dla bezdomnych zwierząt oraz chcieliby zasilić kasę Towarzystwa prowadzącego inne pożyteczne akcje: PKO I O. Warszawa nr 1-9-121.941; Tow. Opieki Nad Zwierzętami w PRL, Zarząd Główny, ul. Noakowskiego 4, 00-666 Warszawa.

Marysia Z.

Od redakcji: Każdej jesieni ogłaszamy apel do naszych Czytelników, aby pamiętali, że idzie zima i należy dokonać przeglądu bud dla psów-stróżów domów i gospodarstw. Trzeba także zabezpieczyć przed deszczem, wiatrem i mrozem pomieszczenia przeznaczone dla innych zwierząt, także hodowlanych. Myślimy, że na naszych czytelników można liczyć i w tej sprawie, i to nie tylko podczas trwania Miesiąca Dobroci dla Zwierząt ale — przez cały rok!

BRUNATNY ŁOWCA Z ALASKI

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Niedźwiedzie brunatne (obok polarnych) są największymi mięsożernymi zwierzętami lądowymi. Samce osiągają wagę ponad 600 kg i 3-metrowy wzrost (w pozycji wyprostowanej). Czytaliście zapewne o potężnych niedźwiedziach gryzli. Mieszkańcy wybrzeży Alaski i Kolumbii Brytyjskiej nazywają tak niedźwiedzie brunatne. To ten sam gatunek, tyle że gryzli są... mniejsze od swoich brunatnych krewniaków żyjących w głębi lądu. Po prostu niedźwiedzie brunatne znajdują tam obfitsze i bardziej urozmaicone pożywienie.

BYLE DO... ŁOSOSI

Niedźwiedzie przychodzą na świat zimą, w przytulnych jaskiniach. Zadziwiające jednak, że mały niedźwiadek waży po urodzeniu zaledwie pół kilograma. Do wiosny młode żyją bezpiecznie pod opieką matki. Potem opuszczają wygodne legowisko udając się ze swoją rodzicielką w długą wędrówkę. Po drodze muszą pokonywać rwące strumienie. Ale najgroźniejsze są dla nich... niedźwiedzie-samce. Wczesna wiosna jest krytyczną porą roku. Głód. Jak zaspokoić rosnący apetyt korzonkami czy drobną zwierzyną taką jak: wiewiórki, lisy? Toteż potężne stare niedźwiedzie napadają na niedźwiedziątka mimo srogich kontrataków rozjuszonych matek.

Niedźwiedzie na czas pewien zamieniają się w jaroszy. Choć są w zasadzie mięsożerne, praktycznie rzecz biorąc mogą jeść wszystko – jak ludzie. Ulubioną niedźwiedzią „surówką" jest pewien gatunek pożywnych turzyc o miłym orzechowym zapachu (kępy turzyc możecie oglądać na bagnach i podmokłych łąkach). Roślina ta zawiera 25 proc. białka!

W czerwcu pora udać się nad rzekę. Tam właśnie wśród wodospadów Mc Neil będą odbywały tarło łososie. A zarazem powstanie w tym miejscu największe na świecie skupisko niedźwiedzi. Wymarzone miejsce do badań naukowych!

Uczeni wyprzedzili jednak niedźwiedzie i wcześniej wybrali dogodny punkt obserwacyjny: skałę nad rzeką, której występ osłaniał ich od tyłu przed nieprzewidzianym atakiem zwierząt. Pracę ułatwiała im bardzo... krótkowzroczność niedźwiedzi. Brunatne olbrzymy przechodziły tuż, tuż, nie dostrzegając ludzi. Uczeni „kamienieli" na ich widok. Niebaczny krok mógł ich zgubić. Niedźwiedzie bowiem, mimo słabego wzroku, reagują na każdy ruch, i to nawet z dużej odległości.

W początkach lata, gdy dopiero zaczęły napływać na tarło łososie, rozgorzały spory o miejsce łowów na nabrzeżnych skałach. Z reguły młody samiec ustępował matce z małymi, ta zaś zwalniała dogodną skałę ze strachu przed silnym starym niedźwiedziem. Choć zdarzało się, że matka zajmowała bezprawnie „stanowisko" męskie i nie pozwalała się stamtąd przepędzić.

Warto zaznaczyć, że niedźwiedzie rzadko biorą się za bary (na ponad 4 tysiące niedźwiedzi widziano walczące tylko 124). Poza tym w porze obfitości łososi ustają swary. Szczęśliwy czas. Ryby starcza dla wszystkich. Młode baraszkują beztrosko na brzegu i uczą się sztuki łowieckiej.

INDYWIDUALIŚCI

Niedźwiedzie są prawdziwymi indywidualistami. Każdego trzeba obserwować z osobna. Nie zawsze można uogólniać spostrzeżenia. Różne okazy reagują w rozmaity sposób w podobnych okolicznościach. Każdy stosuje inną technikę połowu. Najlepsi „rybacy" chwytają i konsumują dwie ryby w ciągu 15 minut.

Ogólnie rzecz biorąc, ranga niedźwiedzia zależy od jego wielkości. Im potężniejszy okaz, tym więcej miejsca przysługuje mu na tarłowisku łososi. Natomiast w rozmieszczeniu noclegowisk nie przestrzegają niedźwiedzie dystansu. Na powierzchni 16 hektarów znalazło schronienie 20 niedźwiedzi, w tym trzy samice z młodymi.

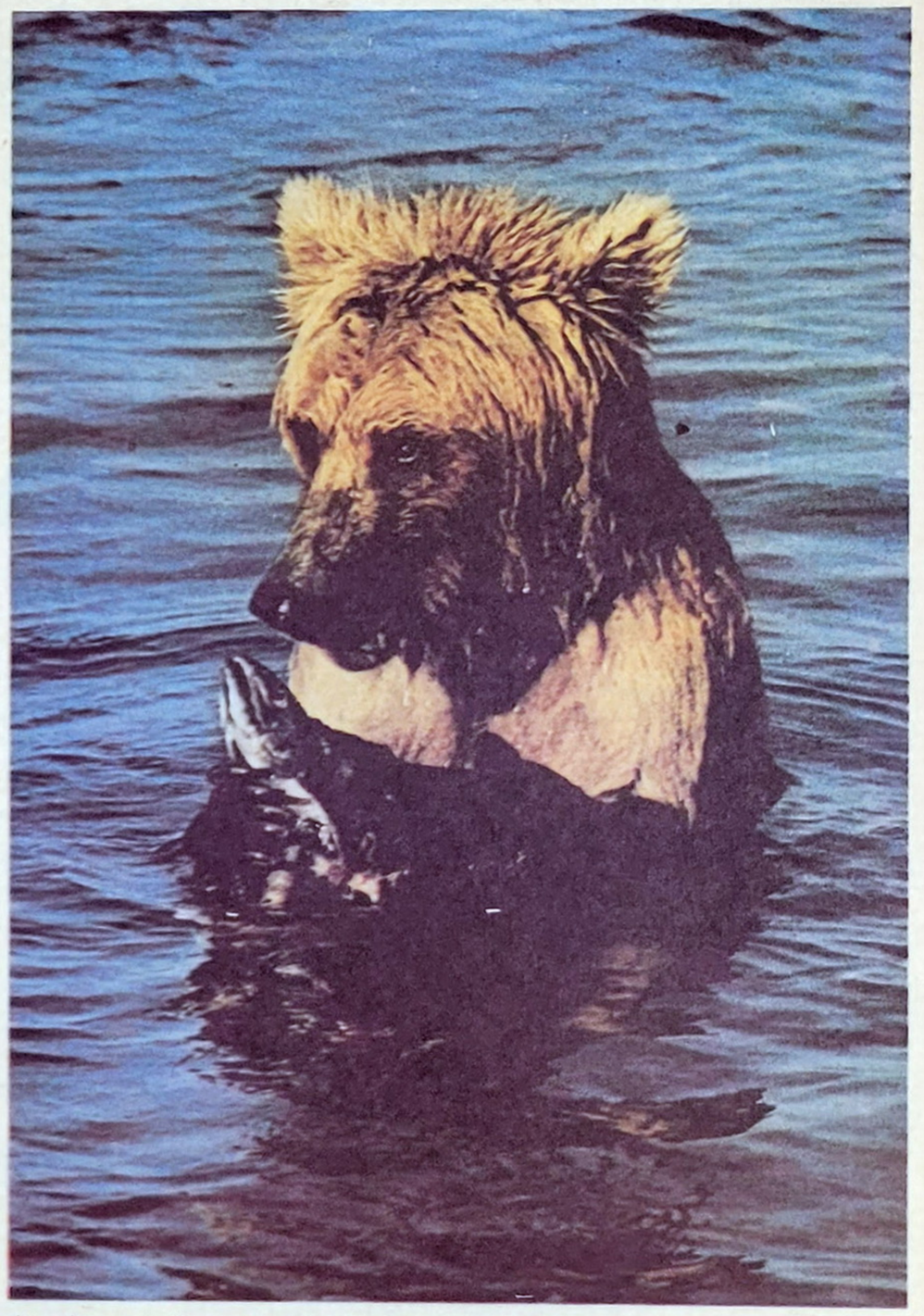

Zwierzęta te nie przywiązują się do miejsca. Samce są samotnymi wędrowcami. Samice opiekują się potomstwem przez 2,5 roku. Potem przepędza młodzież groźny zalotnik.

KTO ZAGRAŻA NIEDŹWIEDZIOM?

Na Alasce żyje dziś 7–8 tysięcy niedźwiedzi. Liczba tych zwierząt na razie... wzrasta. Prawdopodobnie przyczynili się do tego myśliwi, polujący na duże, agresywne samce. Te właśnie, które wiosną rzucają się na młode. A jednak byt niedźwiedzi jest zagrożony!

Wzrasta coraz szybciej zaludnienie Alaski. Osadnikom towarzyszą owce, bydło, renifery. Konflikty z niedźwiedziami są nieuchronne. Już dziś „misie" zapuszczają się do przetwórni ryb. Małe miasteczka przeżywają od czasu do czasu prawdziwą inwazję niedźwiedzi. Zwabia je tam zapach odpadków i wędzonych ryb. Tylko elektryczne płoty mogą zniechęcić zwierzęta do takich eskapad. Agresywne samice z małymi spacerujące w pobliżu miast są niebezpieczne dla mieszkańców. Atakują bez jakiejkolwiek zaczepki ze strony człowieka. Toteż burmistrz Naknek Vern Jones uważa, że „dobry niedźwiedź to martwy niedźwiedź". Należy pozbyć się tych zwierząt z sąsiedztwa miast zatrudniając... myśliwych. W tej sytuacji trudno liczyć na pokojową koegzystencję ludzi i niedźwiedzi.

Można jednak żywić nadzieję, że brunatni „cyganie" unikną niebezpieczeństwa. Alaska jest olbrzymia. Niedźwiedzie przepędzone spod miast, przeniosą się w inne okolice. A że są z natury wędrowcami, łatwo przystosują się do nowych warunków.

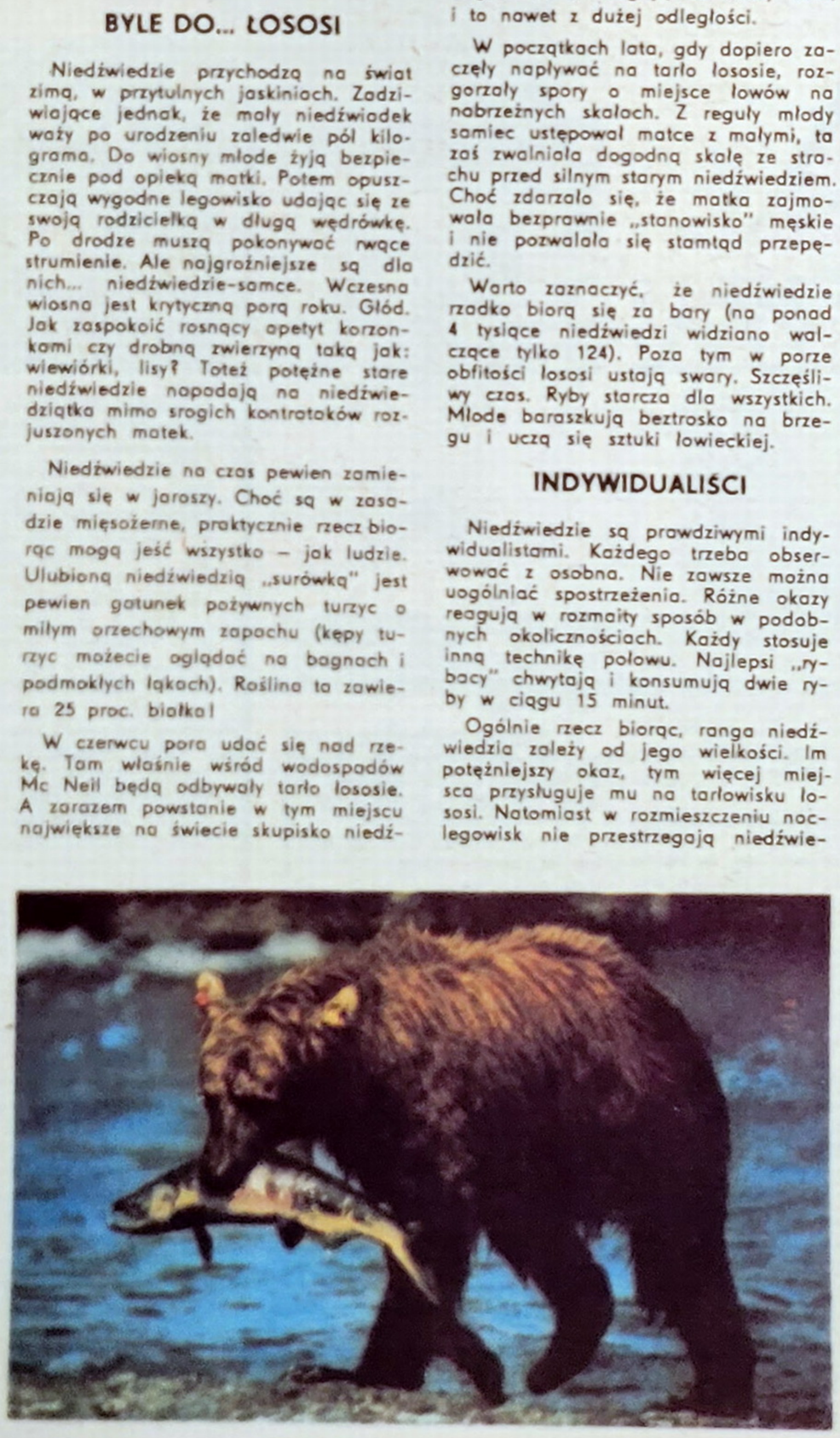

MARIA WRÓBLEWSKA

Zdjęcia: **Archiwum**

GWIAZDOZBIÓR

Największą frajdą w tym zawodzie jest pokonywanie przeszkód, ciągła niepewność, konieczność sprawdzania siebie we wciąż nowych sytuacjach – mówi

Jan Englert

Ujmujący uśmiech, szczere spojrzenie naturalny sposób bycia, rzeczowość, powściągliwość, aktywny konkretny stosunek do życia, zapał do swojej pracy, do zawodu – notowałam w myśli swoje spostrzeżenia, w czasie gdy aktor mówił nie o sobie, ale o swoich licznych rolach, wśród których pozytywny bohater, ideowiec, walczący żołnierz i partyzant zdarza się szczególnie często. Ale przecież nie tylko. W ciągu 11 lat pracy aktorskiej grał już prawie wszystko od klasyki – po współczesność, od roli komediowych – po tragiczne. I to nie tylko na scenie, ale i w filmie, i w telewizji. Stał się popularnym, aktorem, obdarzonym przez publiczność Złotą Maską, Złotym Ekranem, Nagrodą Najpopularniejszego Aktora.

– Pracuje Pan bardzo dużo, osiąga sukcesy; chyba jest Pan z siebie zadowolony?

– Proszę mi powiedzieć, czy zna Pani choć jednego człowieka, który byłby w pełni z siebie zadowolony. Oczywiście, wiara w siebie i celowość własnej pracy jest niezbędna nie tylko w zawodzie aktorskim.

– Ale wybrał Pan właśnie ten zawód. Jak do tego doszło?

– W 1956 roku „wyłowili" mnie ze szkolnej ławy asystenci Andrzeja Wajdy o nazwiskach teraz szeroko znanych: Kazimierz Kutz i Janusz Morgenstern. Zagrałem, jeśli to można tak nazwać, „Zefirka" – powstańczego łącznika w filmie „Kanał". I tak się zaczęło.

– W Pana bogatym repertuarze są zapewne role, które ocenia Pan jako zysk artystyczny, okazję do pomnożenia własnych możliwości aktorskich. Jakie to są role?

– Cesarz Heliogabal w „Irydionie", Drinkwater w „Nawróceniu kapitana Brassbounda" Shawa; punktem zwrotnym była rola bezrobotnego inteligenta w „Notesie" Skowrońskiego w telewizji, potem Zygmunt w „Kolumbach" Bratnego (ta rola przyniosła mi ogromną popularność), Marek w filmie Jana Łomnickiego „Poślizg", Banko w „Makbecie" Ionesco, a najwyżej cenię Leona w „Matce" Witkiewicza w reżyserii Erwina Axera w moim Teatrze Współczesnym.

– A doktor Judym?

– Cieszyłem się z tej roli i bałem się jej – przecież to jeszcze jeden polski „święty". Zacząłem w nim szukać ludzkich cech według ogólnej zasady wyniesionej ze szkoły teatralnej: jeśli postać pozytywna, to trzeba ją atakować, jeśli negatywna – to bronić.

Próbowałem pokazać człowieka rozdartego wewnętrznie, bez ustanku poszukującego potwierdzenia własnej wartości. Jako obcy zarówno dla tych, do których przynależy intelektualnie, jak i dla warstwy społecznej, z której pochodzi, jest jakby zawieszony w próżni staje przed koniecznością wyboru. – I to jest według mnie bohater współczesny. Wielu z tych, którzy oglądali film, zarzuca Judymowi egoizm. Nazwijmy to raczej egocentryzmem – czyli skupieniem się na samym sobie. Ja – poprzez ideę, a nie idea poprzez mnie. Dyskusyjne, ale przyzna pani, że ciekawe.

– To dalekie od szkolnej interpretacji postaci, warto chyba ją uzasadnić precyzyjniej.

– Były to czasy konformistów. Judym był również skłonny do konformizmu. Prawdopodobnie, gdyby nie brak umiejętności w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, zostałby wziętym lekarzem „pięknych zamożnych dam". Tyle, że w nim tkwi również autentyczna potrzeba działania, lub, jeśli kto woli, wyjścia ponad przeciętność.

– A co z Joasią, czy Judym musiał się jej wyrzec?

– W mojej interpretacji Judyma istnieje pogłębiony motyw psychologiczny. W momencie, w którym nasz bohater znalazł swoją drogę, stał się „kimś", odnalazł ideę, dla której gotów się poświęcić – Joasia staje się dla niego przeszkodą, a oprócz tego rezygnacja z miłości podnosi własną decyzję do wymiaru niemal bohaterskiego.

– A więc egoizm?

– Można i tak to rozumieć.

– Przeżywa Pan okres premierowy. Na ekranach naszych kin ukazały się dwa filmy, w których Pan gra ważne role: „Czerwone i białe" Pawła Komorowskiego i „Doktor Judym" Włodzimierza Haupego...

– Trzeci mój film ma właśnie premierę w Bułgarii. Jest to film Rodewa pt. „Skazańcy" wg powieści bułgarskiego pisarza Dimitra Dimowa. Gram rolę hiszpańskiego jezuity – fanatyka. Otrzymałem za nią w tym roku nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Czerwonego Krzyża w Warnie. Wydaje mi się, że powinien to być bardzo ciekawy film. Jadę właśnie do Bułgarii na premierę.

– Życzę szczęśliwej podróży i oby w każdym roku miał Pan tyle premier i nagród... nagród jeszcze więcej.

Rozmawiała:
BARBARA TYLICKA
Zdjęcie: **Jerzy Troszczyński**

W czasie niedzielnych rekonesansów, zastęp Doroty na gorąco przygotowuje szkic terenu.

VII TURNIEJ WIEDZY OBYWATELSKIEJ

U NAS NAJPIĘKNIEJ

Sześcioosobowa grupa turniejowa Doroty Anuszkiewicz ze Szczepu im. Karola Brzostowskiego ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Augustowie nie miała kłopotów z wyborem zadania. Kiedy mieszka się w krainie jezior i lasów, gdzie jest tyle wspaniałych miejsc na obozy i biwaki, chciałoby się, aby gościli tu harcerze z różnych regionów Polski. „Zapraszamy do nas" – to zadanie turniejowe augustowskich harcerzy.

Pierwsza turniejowa zbiórka szybko przerodziła się w giełdę pomysłów. Okazało się, że każdy z szóstki Doroty zna miejsca wymarzone na letnie obozy. To była prawdziwa licytacja, bo każdy jak mógł najbardziej zachwalał swoje propozycje. Dziewczęta były oczywiście bezkonkurencyjne. Miejsca opisywane przez nie przypominały bardziej jakieś bajkowe cuda, niż rzeczywisty krajobraz. W jeziorze Sajny opisywanym przez Ankę była pluszcząca, niebieska woda, szumiące nad nim sosny i urokliwe, wschodzące i zachodzące słońce.

– Prawdziwa sielanka! – podsumował Marek. A tak konkretnie, to gdzie jest to miejsce? Cuda przyrody nie wystarczą! Wiecie przecież, że niełatwo jest znaleźć dobre miejsce na obóz. Ważny jest suchy teren, łatwy dostęp do wody, no i oczywiście okolica. Najfajniej, gdyby to była jakaś polana.

– Ja znam takie miejsce, tu niedaleko! – wyrwał się Wojtek. – Nad Neckiem w pobliżu Augustowa. Jest tam i las, i znakomite miejsce do kąpieli. Z zaopatrzeniem nie byłoby kłopotów, bo wieś i sklep nie tak daleko. A zresztą możemy się tam wybrać na rekonesans.

W niedzielę cała szóstka pomaszerowała nad Necko. Dziewczęta, jak to dziewczęta. Na widok każdej ładniejszej polany stwierdzały: to chyba tutaj, bo jest tu tak ładnie. Andrzejowi najbardziej podobało się miejsce pod niewielkim wzgórzem, tuż nad jeziorem.

– Zwariowałeś, chciałbyś spłynąć w czasie ulewnego deszczu do jeziora! Obóz powinien zawsze być położony trochę wyżej.

Miejsce Wojtka było rzeczywiście znakomite. Duża polana w lesie, niżej jeziora z małą plażą.

– Jak tu pięknie! – wzdychała Ania marzycielka.

– Jak tu fajnie! Blisko woda i daleko od tych tradycyjnych punktów turystycznych – stwierdzili pozostali. Polana Wojtka zdobyła sześć głosów i jako pierwsza znalazła się w folderze przygotowywanym przez zastęp. Na następny rekonesans, tym razem na półwysep zwany „Gołą Zośką" nad jeziorem Rozpudy, wybierają się w przyszłą niedzielę. To miejsce wybrane przez Dorotę.

– U nas jest jednak najpiękniej!

ELŻBIETA JEDLIŃSKA
Zdjęcie: **Kajetán Adamowski**

5 minut z MAGDĄ

Urządziłyśmy sobie w niedzielę takie towarzyskie spotkanie dziewczyn z naszej starej klasy. Nie wszystkie przyszły, ale było nas siedem. Najpierw przez pół godziny odbywały się różne ochy i achy – że której włosy urosły, że inna ma fantastyczną spódnicę, że Baśka schudła a Bożena wyskubała sobie brwi (nawiasem mówiąc koszmarnie jej z tym)... A potem to już poleciała normalna gadka o tym, jak to jest w naszych szkołach.

Jolka wygłosiła długachne exposé, jak to ona zaczęła się porządnie uczyć i jak starannie przygotowuje się do każdej lekcji, aby nie mieć żadnych zaległości. Hanka opowiedziała o swoim specjalnym zeszycie do matematyki, w którym rozwiązuje różne nadprogramowe zadania, żeby być – jak mówi – na poziomie. Bożena nawet ze sobą miała swój album z wycinkami geograficznymi. Baśka pochwaliła się, że lekcje niemieckiego nagrywa sobie na magnetofon i odgrywa po kilka razy. Elżbieta westchnęła, że jej to nie wszystko, niestety, wychodzi tak jakby chciała, ja też coś dodałam, tylko Marta siedziała ze znudzoną miną.

„Po co wam to wszystko?" – spytała się w końcu. I wyjaśniła, że w jej przekonaniu jesteśmy dziecinne i naiwne, i że tracimy niepotrzebnie masę czasu. Ona, Marta, też się uczy. Ale nie więcej niż potrzeba na tróję. Gdyby uparła się na czwórki lub piątki, musiałaby się uczyć kilkakrotnie więcej. Ale na szczęście ma trochę zdrowego rozsądku – tu wymowne spojrzenie w naszą stronę – i nie dała się zwariować. Bo niby co jej z tych lepszych stopni przyjdzie?! A z trójami i tak będzie zdawać z klasy do klasy, i maturę też zda, i pracę dostanie po technikum wcale nie gorszą od tych, co się lepiej od niej uczyły.

Poczułyśmy się malutkie i głupiutkie. I tak nam się żal jakoś zrobiło tych godzin spędzonych nad podręcznikami podczas, gdy Marta ma czas i na kino, i na spacery z chłopakiem, i na tysiące różnych przyjemności. I już nam się rozmowa dalej kleić nie chciała. Cóż, popsuła nam Marta trochę humor, nie ma co mówić!

Nie ma co mówić! Dałyśmy sobie zaimponować tym jej wolnym czasem, tą jej pewnością siebie, tym, że wszystko wie. Zatkało nas. Tylko prawdę mówiąc, to tak w głębi serca chyba wcale nie uważamy, że ma ona rację. Bo co to w gruncie rzeczy za pomysł – być średnim!? Może i wygodne to życie, ale... takie jakieś mdłe. Nie?! I tylko diabli mnie biorą, że tak się jej dałyśmy skołować!

MAGDA

Jesteśmy ciekawi, co w tym numerze uważasz za: DOBRE, LEPSZE, NAJLEPSZE. Wpisz tytuły artykułów lub ilustracji do kuponu, naklej na kartkę pocztową, wyślij pod adresem redakcji – Mokotowska 24, 00–561 W–wa.

OCENA	TYTUŁ
dobry	. . . . .
lepszy	. . . . .
naj-lepszy	. . . . .

ŚWIAT MŁODYCH MIESIĘCZNIK GAZETA NASTOLATKÓW

nr 135

REPORTER Świata Młodych

Samotność z dzieckiem

Iwona B. ma 16 lat i już została matką. Jest wysoką, ładną dziewczyną. Jedzie przez miasto, pchając przed sobą wózek. Jej twarz oblewa rumieniec, głowę trzyma niżej niż zwykle. Ludzie z ukosa patrzą na nią i coś szepczą. W takim małym mieście wszyscy się znają i żadne zdarzenie nie ujdzie uwadze ludzi.

Iwona jest dobrą uczennicą. Nigdy jednak nie bierze udziału w życiu szkoły. Gdy organizowane są zabawy, konkursy, ona się nie zjawia. Przyjaciółki szkolnej nie ma. Jest małomówna, wydaje się zawsze czymś zmartwiona. O przynależności do organizacji takich jak ZOP, PCK, ZHP mowy nie ma.

Nikt nigdy nie zapytał, dlaczego odłączyła się od tej cząstki społeczeństwa, jaką jest klasa.

Coraz częściej spotyka się ją po godz. 22, w towarzystwie chłopców i dziewcząt o niezbyt dobrej opinii. Ojciec — górnik, matka — konduktorka autobusu. Często zdarza się, że oboje pracują nocą; wtedy u Iwony odbywają się prywatki, które trwają do późnych godzin nocnych.

Pod koniec ósmej klasy Iwona opuszcza tygodnie nauki, co jej się przedtem nie zdarzało. Nie widać jej wałęsającej się po ulicach w gronie swojej paczki, a w szkole aż dudni, dziewczyny plotkują na przerwach:

— Wczoraj byłam z mamą u krawcowej. Gdy wracałyśmy, spotkałam Iwonę. Oczy podkrążone, widać było, że płakała. I okropnie utyła. Moja mama od razu stwierdziła, że jest w ciąży.

Po długiej przerwie pojawia się w szkole. Zrozumiała, że musi ukończyć ósmą klasę. I tu zaskakująca postawa grona nauczycielskiego: nie zwracają na nią uwagi, nie rozmawiają na przykry dla niej temat. Traktują ją jak najnormalniejszego ucznia. Czy czują się w jakiś sposób winni? Czy chcą, żeby jak najszybciej ukończyła ósmą klasę i nie przysparzała im kłopotu?

Iwona skończyła szkołę. Spotyka ją wiele nieprzyjemności. Na ulicy kobiety przystają i patrzą za nią, na ustach koleżanek pojawiają się szydercze uśmieszki. Czy psychika dziewczyny wytrzyma to wszystko?

Iwona: „W życiu człowiek popełnia wiele błędów i trzeba płacić za nie wysoką cenę. Gdybym nie urodziła wtedy dziecka, nikt by się niczego nie dowiedział, uniknęłabym nieprzyjemności. Ja jednak postanowiłam wobec niego spłacić swój dług; chowając je, zrehabilitować się za swą lekkomyślność".

Iwona ma teraz maleńkie dziecko, zapisała się na kurs krawiecki. Gdy go ukończy, pójdzie pracować do zakładów odzieżowych.

Jak myślicie, czy koledzy Iwony mają sobie coś do wyrzucenia?

GABRIELA BAJER

Dzisiejsze wydanie w całości poświęcamy ostatniemu osiągnięciu radzieckiej kosmonautyki — miękkiemu lądowaniu na Wenus dwóch sond. Obydwa lądowniki przesłały pierwsze w historii zdjęcia powierzchni błiźniaczej siostry Ziemi. Obszerniej o wynikach naukowych radzieckiego duetu na Wenus napiszemy w przyszłości.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

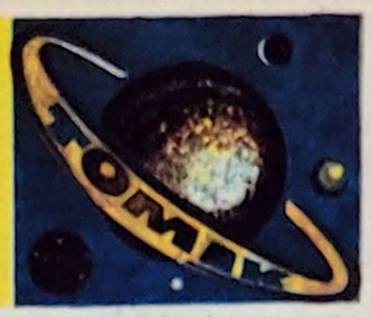

Radziecki duet na Wenus

Radziecka automatyczna stacja międzyplanetarna „Wenus-9" po pokonaniu w ciągu 136 dni odległości przeszło 300 mln km, weszła 22 października br. na orbitę wokół Wenus, stając się pierwszym w historii sztucznym satelitą tej planety.

Od stacji odłączył się aparat, który łagodnie wylądował na powierzchni planety. Po raz pierwszy w warunkach atmosfery Wenus, przy ciśnieniu 90-krotnie większym niż na Ziemi i w temperaturze 485 stopni Celsjusza, uzyskano unikalny obraz powierzchni planety w miejscu lądowania.

W czasie lotu do Białej Planety z automatyczną stacją przeprowadzono 90 seansów łączności, w czasie których kierowano lotem stacji, kontrolowano działanie jej systemów pokładowych oraz prowadzono naukowe badania procesów fizycznych zachodzących w przestrzeni kosmicznej.

W celu nadania stacji odpowiedniego kierunku lotu oraz stworzenia koniecznych warunków odłączenia się i wejścia aparatu lądującego w atmosferę Wenus dokonano dwóch korektur toru lotu stacji.

Dwa dni przed wejściem w atmosferę Wenus, 20 października br., od stacji automatycznej odłączył się aparat lądujący. Po jego odłączeniu się stacja „Wenus-9" została wprowadzona na eliptyczną orbitę sztucznego satelity planety o perigeum ok. 1500 km. Czas obiegu wokół Wenus wynosi ok. 48 godzin.

Na sztucznym satelicie zainstalowano aparaturę naukową przeznaczoną do badania składu chemicznego oraz fizycznych cech atmosfery i struktury obłoków, pola magnetycznego Wenus i plazmy w strefie wiatru słonecznego.

22 października rano aparat lądujący wszedł w atmosferę Wenus z szybkością 10,7 km/sek. W wyniku aerodynamicznego hamowania w atmosferze szybkość opadania aparatu lądującego zmniejszyła się do 250 m/sek. Podczas opadania aparatu na spadochronach przeprowadzone zostały po raz pierwszy kompleksowe badania warstwy chmur wokół Wenus.

Na wysokości 50 km system spadochronowy oddzielił się, a aparat lądujący, wykorzystując aerodynamiczny system hamowania, łagodnie wylądował na powierzchni planety.

W trzy dni później, 25 października, na powierzchni Wenus, w odległości 2200 km od pierwszego, wylądował drugi aparat — lądownik automatycznej stacji „Wenus-10". Obydwie stacje są niemal identyczne i przeznaczone do wykonania tych samych zadań. „Wenus-10" asekurowała w pewnym sensie misję swojej poprzedniczki. Jednak 4,5-miesięczną podróż międzyplanetarną obydwie stacje zniosły świetnie. Obecnie wokół Białej Planety krążą dwa sztuczne satelity — „Wenus-9" i „Wenus-10". Obydwie stacje badają otoczenie Wenus oraz przekazują na Ziemię zdjęcia jej atmosfery wykonane w paśmie ultrafioletu. Na obrazach tych widać wyraźnie równikową cyrkulację obłoków, co wcześniej zdołał wykryć „Mariner-10".

Pełniejsze wyniki badań radzieckich sond wenusjańskich znane będą później. Niemniej z tego, co już zdołały one przekazać, wynika bezspornie, że ostatni eksperyment udał się w 100 procentach, a pod pewnymi względami przekroczył oczekiwania uczonych. Był to więc duet na medal.

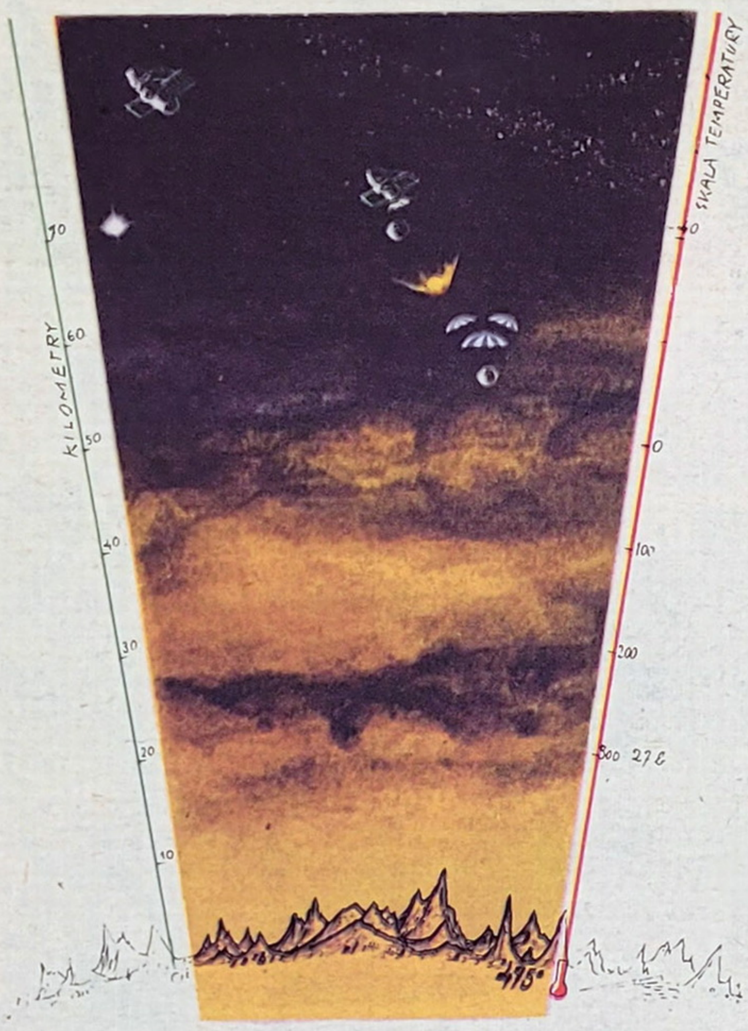

Oto jak wyglądała pierwsza faza lądowania radzieckiej sondy.

Co mówią polscy naukowcy?

W komentarzach ekspertów podkreśla się ogromną precyzję przeprowadzenia eksperymentu, niezawodność użytego w nim sprzętu oraz znaczenie pomyślnych lądowań na powierzchni Wenus.

A oto co powiedzieli o tych wydarzeniach polscy specjaliści:

Wiceprezes Polskiego Towarzystwa Astronautycznego, dr **Olgierd Wolczek**: osadzenie w pełni sprawnych lądowników na powierzchni Wenus jest operacją niezwykle trudną z dwu głównie powodów. Po pierwsze, w czasie wyhamowywania prędkości stacja podlega ogromnym przeciążeniom, sięgającym 400 G. Dla porównania — jeżeli samochód osobowy jadący z prędkością 70 km/godz. zderzy się z betonową ścianą, przeciążenie wynosi „zaledwie" 100 G. Druga trudność to warunki panujące na powierzchni Wenus. Otóż ciśnienie dochodzi tam do 100 atm., a temperatura do 500 st. C. Wytrzymałość radzieckich lądowników, a także odporność ich aparatury pokładowej jest więc godna podziwu.

Niezwykle delikatnym przyrządem musi być zainstalowana w lądowniku kamera telewizyjna. Z tego co wiemy wynika, że na powierzchni planety panuje półmrok, a mimo to obrazy przekazywane na Ziemię są znakomitej jakości.

Uczeni radzieccy wyspecjalizowali się w badaniu planety Wenus. Lądowanie stacji „Wenus-9" i „10" na Białej Planecie jest ich nowym wspaniałym sukcesem, a efekty tych lądowań — ogromnym wkładem do nauki światowej.

Przewodniczący Komitetu d/s Badań i Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej przy Prezydium PAN, prof. **Stefan Piotrowski**: jest to ogromnie ważny krok w dziejach poznania planet. Ludzkość dysponuje już zdjęciami Marsa i Merkurego. Obecnie uzyskała fotografie najbliższej w stosunku do Ziemi planety — Wenus. Już uprzednio, dzięki danym przesłanym przez wcześniejsze automatyczne stacje międzyplanetarne typu „Wenus", znaliśmy panujące na tej planecie ciśnienie i temperaturę. Obrazowo można powiedzieć, że z kosmicznej próżni i mrozu zbliżonego do zera absolutnego, aparatura zainstalowana na lądowniku znalazła się jakby we wnętrzu wysokociśnieniowego kotła parowego. Tym większy jest sukces, dzięki któremu uzyskaliśmy pierwsze informacje i obrazy z powierzchni planety. Osiągnięcie to pomnaża jednocześnie wysoki prestiż naukowy Akademii Nauk ZSRR, obchodzącej w br. swe 250-lecie.

Doc. Stanisław Grzędzielski z Obserwatorium Astronomicznego UW: przekazane z powierzchni Wenus za pomocą telewizji informacje, że znajdują się tam młode geologicznie skały jest naukową rewelacją. Świadczą one bowiem o tym, iż na planecie działają siły przeciwstawiające się erozji. Mogą to być procesy wulkaniczne lub tektoniczne. Dokładną ich naturę zbadają zapewne następne lądowniki. Niezwykle cenne dla astrofizyki informacje przyniesie też aparatura badawcza, zainstalowana na pierwszych sztucznych satelitach Wenus, mogą bowiem one obserwować bezpośrednie zderzenia pędzącego z prędkością 400 km/sek „wiatru słonecznego" z atmosferą planety.

PORTRET WENUS

Pierwsze zdjęcia powierzchni Wenus uzyskano w 15 minut po dotknięciu powierzchni planety przez aparat lądujący. Komentując obraz wenusjańskiego krajobrazu, jeden z naukowych kierowników eksperymentu, Borys Niepokłonow wyjaśnił, że zdjęcia obalają popularną hipotezę, jakoby powierzchnia planety — w wyniku erozji spowodowanej wiatrem i temperaturą — wyglądała jak pokryta wydmami pustynia. Tymczasem jest to pustynia ale kamienista. Drugą sensacją, jest fakt otrzymania kontrastowego zdjęcia. Przypuszczano bowiem, że na powierzchni planety jest zbyt ciemno, ponieważ światło słoneczne jest wytłumione przez bardzo grubą warstwę chmur. Tymczasem oświetlenie na Wenus jest mniej więcej takie jak w Moskwie w pochmurny dzień czerwcowy.

Zdjęcie: CAF — Interfoto

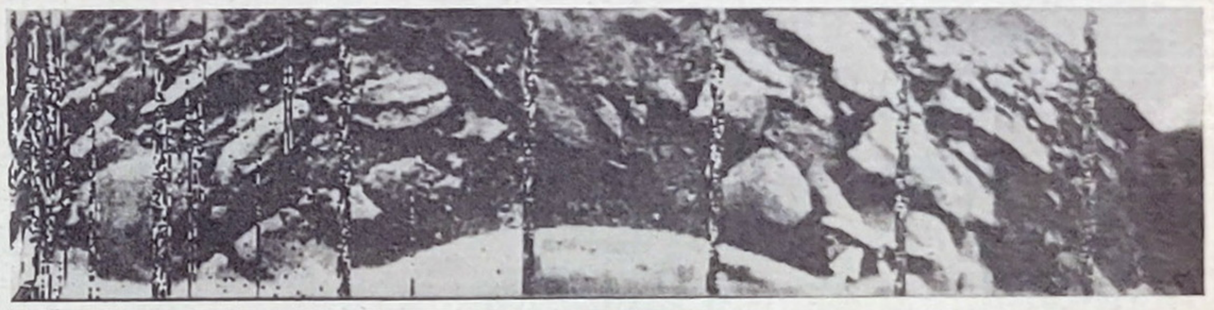

– Zresztą, o ile mi wiadomo, w przyrodzie wręcz w błyskawicznym tempie zachodzą naturalne mutacje wirusów i bakterii. Tak więc stopień ryzyka...

– Madziu, ty nic prawie nie zjadłaś! Co to jest, żeby dziewczyna w twoim wieku...

– Jerzy, proszę, nie bagatelizuj zagadnienia. Jesteś dorosły, nie można tak nonszalancko...

Tylko mama zauważyła, że coś się ze mną dzieje, ale przypuszcza, że to katar. Jak znam mamę, za moment wypali mi kazanie na temat siedzenia w przeciągu, picia zimnej oranżady, kiedy się jest spoconym i chodzenia z gołą głową po deszczu.

– Założyłabym się, że siedziałaś w przeciągu, Madziu – przysuwa cukiernicę i zaraz odstawia. – Dobrze jeśli się skończy tylko na katarze. W biurze wszyscy mają grypę.

Z własnej woli kładę się do łóżka, chociaż w normalne soboty bronię się jak najdłużej przed zagnaniem do spania. Mama coś pierze w łazience, ojciec z Jurkiem rozłożyli szachownicę.

– Jak ty tak, to ja tak. Szach królowi!

– Garde wieży!

Słychać delikatne szuranie figur na szachownicy, z taśmy Jurkowego magnetofonu sączy się muzyka, Jurek nic nie potrafi robić w ciszy, nawet grać w szachy.

Skrzypnięcie drzwi, smuga światła na podłodze.

– Czego jesteś takim przegranym Magdziolem? – brat stoi w drzwiach, ciemny i duży.

– Nie jestem.

– Nie zalewaj. Ja się na tym znam. Psychologia, rozumiesz. Stan frustracyjny albo coś podobnego.

– Nie.

– Pozostańmy każde przy swoim zdaniu. Dobrej nocy, Magdziol.

Podniosłam się na łokciach.

– Jurek...

– No?

– Co to znaczy „kwiat Kory"?

– Poczekaj... – zastanowił się. – To będzie mak.

– Ja wiem, że mak.

– Więc po co pytasz?

– Bo nie wiem, jak było z tą Korą...

W tamtym pokoju niespokojnie zaszeleściło.

– Jerzy, nie skończyliśmy partii!

– Zaraz. – Podszedł do mnie. – Zaraz przychodzę! A z Korą było tak... Uczyłaś się tego. Kora to Persefona, ta, którą porwał Hades, córka Demeter. Z mitologii greckiej. Teraz już wiesz? A w ogóle nic się nie martw, nie warto.

Odszedł zamykając drzwi, a ja zostałam sama i mogłam spod poduszki wyciągnąć zgniecioną bibułkę.

★

Jest łąka, szeroka, cykająca świerszczami, cała w kwiatach, brzęczeniu pszczół, w miodowej woni, z trawą po pas. Wiatr głaszcze zielone źdźbła, dmucha w skrzydła motyli, rozrzuca włosy dziewcząt.

Odeszły daleko, już mają ogromne naręcza kwiatów. Tych białych o żółtym środku, delikatnych różowych wiech, plamistych, puchatych, srebrnych kiści.

– Wracajmy.

– Dlaczego chcesz wracać, Koro?

– Nie wiem.

– Jesteś zmęczona? Usiądziemy.

Jedne siadają na podkulonych nogach, inne się kładą, nad więdnącymi kwiatami polatuje motyl o złotych skrzydełkach, już blisko południe, słońce wzbija się coraz wyżej i wyżej na wierzchołek nieba.

– Mogłybyśmy iść do źródła.

– Tam gdzie pasie Hylas?

– Tak.

– Przyznaj się, przyznaj, Basilio! Wcale nie myślisz o ochłodzie, chciałabyś chociaż z daleka zobaczyć pasterza Hylasa.

– Prawda, chcę go zobaczyć.

Ta, która się śmiała, milknie, inne unoszą głowy i patrzą na rówieśniczkę mówiącą bez wstydu o swoim uczuciu.

– Jesteś za młoda, żeby myśleć o miłości, Basilio.

– Nie myślałam o niej, ona pomyślała o mnie. Przed świtem poszłam do źródła, niosąc dzban i spotkałam Hylasa. Nie pamiętam, czy mówił coś do mnie, czy milczał, ale od tego poranka muszę wciąż o nim myśleć.

C.d.n.

5

JONKA JONEK I KLEKS

WSPOMNIENIA Z WAKACJI

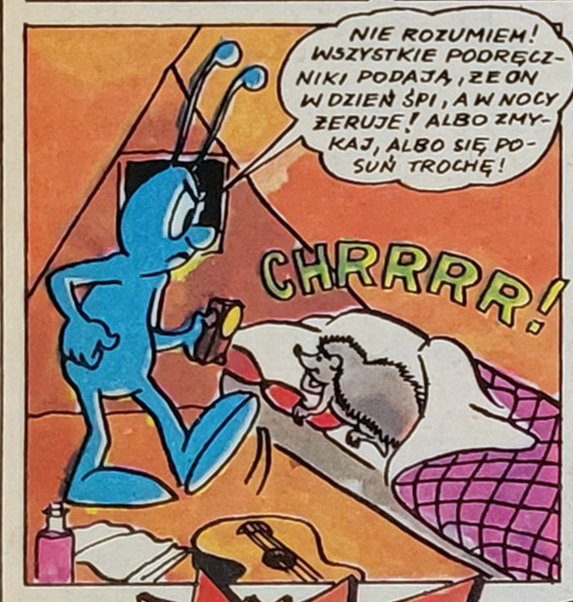

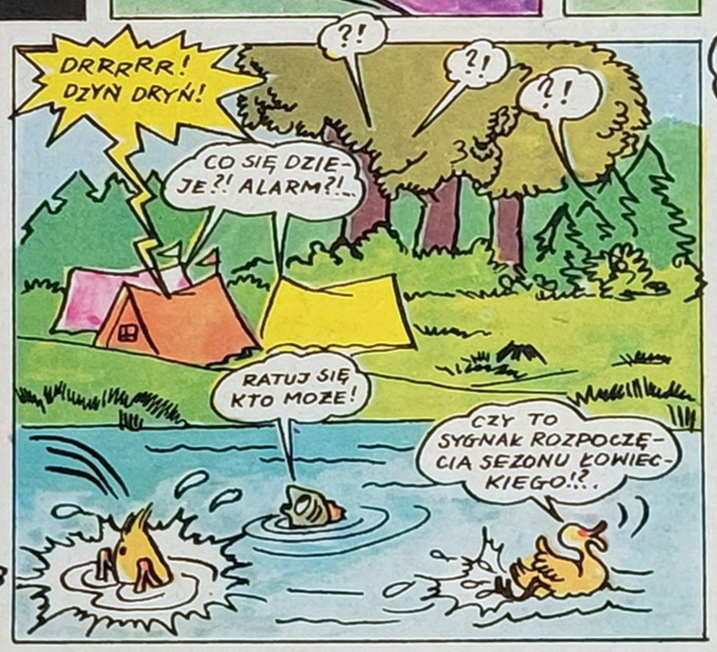

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-49
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-00-77, Dział Wydawniczy 29-56-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Maria Jaworska

Opracowanie graficzne: Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 135/7132 B-84

Nr indeksu — 33039/33044.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

MOŻE NIE, MOŻE TAK

5

EWA NOWACKA

Na narzucie tapczanu kładę smutny śmieć, staram się rozprostować płatki, przyczepić oderwany listek, złożyć złamaną łodyżkę. Co zrobiłam ze swoim makiem, z tym, który sama wybrałam? Nie mam pojęcia, pewnie go gdzieś wyrzuciłam. A ten — dostałam. W ramach wyglupu, takiego wyglupu z błyskiem — jak mawia Jurek, mój dorosły brat. Kwiat Kory. Jakiej Kory? Czy to coś znaczy, jeśli chłopak schodzi do szatni z bibułkowym makiem? A jeśli znaczy, to co?

„Wyrzuć to — proszę samą siebie. — Wyrzuć i zapomnij. To wszystko nie ma sensu, ty widocznie wstałaś z łóżka lewą nogą. Agnieszka chciała coś wytłumaczyć, może wcale nie jest tak, jak ci się wydaje. Wystarczy się zastanowić i..."

— Madziu, kolacja!

Przybliżam twarz do lustra, nie powinni nic poznać. Ale nawet nie mogą. Wyglądam tak samo jak każdego innego dnia. Co za pomysł, że ktokolwiek mógłby przynieść dla mnie kwiat?! Gdybym miała jasne włosy Agnieszki, gdybym była taka wysoka, jak Beata, miała coś z kociego wdzięku Kaśki, albo uśmiech Joanny, nie stałabym samotnie przy pustym krzesełku. Nie mogę się nikomu podobać i tamto było wygłupem, nic się nie myliłam mówiąc o odskakującej szajbie.

— Co ty robisz, Madziu? Nie słyszysz, że kolacja?

— Nic nie robię.

— Stało się coś?

Tchórzliwie umykam oczami przed wzrokiem mamy.

— Nic się nie stało.

— Czy rzeczywiście? Albo płakałaś, albo masz katar.

— Mam katar — przyznaję.

— Zapuść sobie przed snem krople.

Jemy kolację, ojciec szeleści gazetą, w szyby uparcie bębni wieczorny deszcz.

— Magdzioł, co teraz tańczy młode pokolenie? — Naturalnie Jurek w każdy sobotni wieczór wychodzi, dzisiaj jak na złość jest i uważa za swój obowiązek rozmawiać akurat ze mną.

— Słuchaj, czy dyrektorka ciągle jeszcze występuje w aksamitach?

Od lat pani dyrektorka ukazuje się na zabawach w tej samej sukni, z dużą broszką. W tej samej sukni chodziła także, kiedy Jurek był uczniem naszej szkoły; powinnam potwierdzić i roześmiać się razem z moim bratem, jak rok temu, jak dwa lata temu...

— Madziu, ty się chyba źle czujesz.

— Magdzioł, nie rób takiej strasznej miny. Mnie nie przestraszysz.

Ojciec odkłada gazetę.

— Jerzy... — gdy mówi do Jurka: „Jerzy", oznacza to, że ma coś ważnego do powiedzenia. — Jerzy, czytałeś ten artykuł o memorandum w sprawie etyki badań naukowych? Sądzę, że jest to zagadnienie pierwszorzędnej wagi, które...

— Madziu, weź drugą kanapkę.

— ...które powinno wywołać szeroki rezonans. Te doniesienia o zmianach w kodzie genetycznym. Trzeba zupełnie nie mieć wyobraźni! Tym bardziej, że eksperymenty przeprowadzane są na bakteriach i wirusach...

— Madziu, nie zapomnij o zapuszczeniu kropli.

— ...a nasza wiedza o nich jest bardzo niepełna. Nietrudno wyobrazić sobie, że na drodze laboratoryjnej może zostać wyhodowany szczep odporny na wszystkie znane antybiotyki.

— Tato, nie ma problemu. Te sztuczne kultury są niszczone.

— Nikt nie może gwarantować, że wszystko zostało zniszczone. Wystarczy, że jeden wirus...

— Zawsze jest ryzyko. Skąd ktoś mógł na pewno wiedzieć, czy nie przywleczemy czegoś z powierzchni Księżyca? — podczas tych wywodów Jurek opróżnił puszkę z rybkami w pomidorach i wyraźnie rozglądał się za czymś jeszcze na ząb.

Dokończenie na str. 7